



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Nowy-Swiat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincje z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincje z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

X. FRANCISZEK XAWERY

MALINOWSKI

(Dokończenie).

Gramatyka rozpada się na trzy wielkie działy, tak opracowane, że każdy z nich sam przez się, indywidualnie w nauce wystąpić może: pierwszym jest *Pogląd historyczny na rozwój pisma głoskowego u Fenicyan, Greków i Rzymian* etc.; drugim *Głosownia języka polskiego*; trzecim, najobszerniejszym, *Pierwotkłada, nauka o składaniu wyrazów z pierwiastków*. Wszystko to, mimo przedmiotowej ciężkości swej, napisane jest tak jasno, porządnie, systematycznie, że czyta się z nadspodziewaną łatwością i umysł średniej nawet siły bez trudu z dziełem x. Malinowskiego zaznajomić się może.

Skarby erudycji złożył Malinowski w *Głosowni*; cały ten dział gramatyki nawskroś przetworzył i najwięcej oryginalnego myślenia w nim objawił. Krytyka jego dotknęła, i wszystkich dawniejszych prac gramatycznych w naszej literaturze, i klasycznego dla Słowian dzieła Miklosicza, przeciwko któremu niejednokrotnie wystąpił. Dążeniem jego było przedostanie się poprzez wszystkie naleciałości późniejsze i nowotwory do pierwotnego źródła, do praw i form języka starosłowiańskiego, któremu najpokrewniejszą była dawna polszczyzna — niejednokrotny przedmiot uniesień i czci dla uczonego. Każde żądanie swoje, każdą postawioną zasadę, wszystko, co za prawdę uważa, Malinowski rozumowaniem i rzeczywistością popiera; może nie wszystko jest przekonującym, nie wszystko dostatecznie podpartem, ale nic nie stoi dogmatycznie, bez powodu, bez racji, bez le-

gitymacyi wobec rozumu i wiedzy historycznej. Widzimy to zarówno wtedy, kiedy nam uzasadnia potrzebę pisania słowiańskiej *ja* w miejsce *e*, *a*, *o* w wypadkach określonych wyraźnie, jak i wtedy, kiedy, zamiłowany w ścisłości wynikowej, zbyt natrączywie, drobiazgowo, a na obecny okres rozwoju języka już zapóźno i bezskutecznie, broni innych jeszcze praw tego przedwiekowego już dźwięku do dzisiejszego organizmu językowego. Obfitości samogłosek w języku naszym nikt w tak dobitny, przekonujący sposób nie wykazał, jak Malinowski. Umiał on odróżniać język salonów od języka żyjącego pełnią swą i bogactwem w całej powszechności narodu. Jego *a* ciemne, krótkowane wzorem Seklucjana i Kopczyńskiego, choćby się w życiu utrzymać nie miało, z nauki nie da się już wyparować i badacz sam we wszystkich pismach swoich wiernie praw jego strzeże, odróżniając je zawsze od naszego jasnego *a*, które zwyczaj utarty uważa za jedyną tego dźwięku głoskę w języku naszym. Przed Malinowskim już pisano u nas: *jimie, jistota*; ale on pierwszy usprawiedliwił potrzebę opierania *i* na *j*, ilekroć to *i* stanowić ma osobną zgłoskę; zdaje nam się również, że on pierwszy tak dobitnie, jak to znajdujemy w jego *Gramatyce*, odróżnił samogłoski *czyste* od *jotowych*. Bez przesady także powiedzieć można, że Malinowski lepiej niż wszyscy jego poprzednicy opisał fizjologiczny proces wytwarzania się i przetwarzania dźwięków mowy zarówno samogłoskowych jak i spółgłoskowych, chociaż przy tych ostatnich nie zdołał zachować należytego systematu i jego tablica, w której znajdujemy tak zwane *chwilowe* (*mutae*) nie czyni zadość istotnej potrzebie i poczuciu prawdy. Zasluga Malinowskiego pozostanie walka z Miklosiczem i jego zwolennikami o starosłowiańskie *jor* i *jer*, którym prawa do uchodzenia za jakieś tajemnicze połowiczne samogłoski uczony nasz stanowczo odmówił i wynikliwie trwał w tej odmowie przy stwierdzaniu praw języka polskiego. Wielce oryginal-

na — w stosunku do innych gramatyk naszych — jest nauka o „nadechu samogłoskowym“. Wiele nauczyć się można z rozdziałów „o przechodzeniu samogłosek“ i „o samogłosce *y*“. W całej *Głosowni*, z wyjątkiem, jak nam się zdaje, części ostatniej: „o postaciach gramatycznych“, zwłaszcza „o asymilacji“, dowiódł x. Malinowski, nie tylko zdolności rozumowania, ale i ważniejszego od niej daru dostrzegania zjawisk językowych; gramatyk bowiem powinien używać tej samej metody, jakiej używa przyrodnik: nie pisanie praw, ale wyjaśnianie faktów, jak sam autor w *Gramatyce* swej powiedział, ma być zadaniem językoznawcy. Prawidła tego niezawsze się nieboszczyk w dziele swem trzymał, niezawsze w jednym kierunku wyciągnięty umysł na wodzy utrzymać umiał; ale kto dzieło jego zna, ten nie powie, żeby posłannictwa swego jako gramatyk w jaknajpoważniejszy sposób nie pojął i nie spełnił.

Do rzędu zasad bronionych przez Malinowskiego w *Głosowni* a niemających żadnej nadziei i żadnego prawa do utrzymania się w żywym języku, jest pisanie *i* zamiast *y* po *cz*, *sz*, *rz*, *z*, niekiedy i po *c*, *r*, *t*. Cokolwiek w zamierzłej przeszłości być mogło, na jasnym dniu teraźniejszości ostać się już nie zdoła. Lepiej stoi sprawa odróżniania formy mocnej przyimka równego łacińskiemu *cum*, od słabej, *s* od *z*. Pisownia, której trzymał się Mickiewicz, leży w istocie rzeczy, i choćbyśmy jej przyjąć nie mieli, nie podobna jej za prosty tylko wymysł, za grymas uczonego, uważać.

Z pośród zmian zalecanych przez Malinowskiego w trzeciej części *Gramatyki* uwypatniamy tutaj np. 1) opuszczanie *z* z imiesłowów nieodmiennych zaprzeszłych (*zda*rszy, *rzeka*rszy); 2) zupełne upodobnienie VI i VII przypadku liczby pojedynczej w przymiotnikach i zaimkach męzkich i nijakich, oraz zakończenie p. VI l. mn. na *e*; 3) przywrócenie dawnej formy liczebników *kilką* i *wielą*; nakoniec najważniejsze 4) wprowadzenie nowej teorii konjugacyi i nowego podziału słów. Wtrącanie *z* do

imiesłowów uważał nieboszczyk za niedorzeczność. Zakończenie przymiotników i zaimków chciał mieć takim, jakim je nam przekazała polszczyzna Złotego Wieku, a jakie stanowczo usunął dopiero Kopczyński. Formę przypadku VII jeszcze przed-Zygmuntowską, a e, w której obronie stawał profesor Przyborski, a przed nim jeszcze Smith, Duńczyk, zdaniem naszego uczonego, pierwszy umiętny gramatyk polski—Malinowski stanowczo odrzucał. Przekonywającą a wymowną jest w *Gramatyce* obrona staropolskiego q w przypadku VI liczebników i choćbyśmy sami w rzeczywistości długo jeszcze wstąpić do niej żywić mieli, forma ta, w duchu języka tkwiąca, z czasem prawa swe odzyska i nad wygodnym, utartym zwyczajem dzisiejszym zapanuje.

Porównanie odmiany zaimków osobowych sanskryckich, litewskich, starosłowiańskich i polskich, zestawienie zaimka sanskryckiego *jas*, (który) litewskiego *jis* (ten) i starosłowiańskiego *je*, dały Malinowskiemu podstawę do wykazania praw, na których opiera się odmiana zaimków i przymiotników w języku polskim. Cała rzecz o zaimkach prowadzona jest z głębokością wiedzy, którą Malinowski nad wszystkimi językoznawcami naszymi górował. Nietylko swoi, ale i obcy badacze z wywodów jego w tej części *Gramatyki* zawartych korzystają będą.

Uwieńczeniem *Pierwoskładni* jest nauka o słowie. Tu Malinowski, zbijając Miklosicza, Małeckiego i Smitha, wskrzesza zapomniany już systemat Smotryckiego w jego „Gramatyce języka słowiańskiego“ (1619 r.) i za zasadę do uporządkowania słów w gromady, pewnym określonym odmianom podległe, przyjmuje istotę *spójki* łączącej temat (z pierwiastku urobiony), lub w wyjątkowych wypadkach sam *pierwotnik*, z końcówką osoby lub trybu. Na takiej stanowiącej podstawie, autor *Gramatyki* ustanawia cztery zasadnicze konjugacje: 1) słowa jednatomatowe ze spójką o i je; 2) z takimże spójkami dwutomatowe; 3) jednatomatowe ze spójką i i 4) dwutomatowe, których drugi temat kończy się na e miękkie, spajające się w formach osobowych, za pośrednictwem spójki i. Cały ten systemat bardzo prosty, łatwy do wytłumaczenia, ma przed sobą przyszłość, nietylko w książkach, w literaturze, ale i w życiu, w szkole; w dydaktyczne jego posłannictwo wierzył sam autor, gdy go chciał jaknajbardziej do wymagań nauczania przystosować. Pomijając usterki w rzeczach ludzkich nieuniknione, powiedzieć możemy, że cała nauka o słowie, ma tak wielką wartość, iż gdyby Malinowski nie innego nie napisał nad tę część *Gramatyki* swojej, miałby już prawo żyć w pamięci swych ziomków.

Gramatyka w całości swej przedstawia się jako owoc głębokiego rozumu i wiedzy rozległej i posiada tę niespożyłą powagę, jaką pochlubić się mogą tylko dzieła prawdziwie naukowo pomyślane i przeprowadzone. Do *Gramatyki krytyczno-porównawczej* zstąpić musi każdy, kto ma z językiem polskim do czynienia. Wywody w niej mogą nie być prawdziwymi; ale przez to samo, że są, już do prawdy prowadzą. Badania Malinowskiego uczą przez samą głębokość swoją, przez obszerność widnokręgów, które w ważniejszych otwierają zagadnieniach. Błędy wytknięte przez krytykę a uznane za rzeczywiste, jak również dostrzeżone przez samego siebie, autor sprostował w *Dodatku do Gramatyki języka polskiego* (Poznań, 1873 r.), obejmującym także uzupełnienia rzeczy niedość pełnych, i wyjaśnienia niepostawionych dość jasno. — Jeżeli istotnie w spuściźnie po zmarłym zostało nowe opracowanie *Gramatyki*, wątpić nie można, że będzie to dzieło doskonalsze niż w pierwszym wydaniu i ocenione według niego zasługi x. Malinowskiego w językoznawstwie, i naszym, i ogólnie-europejskim, na wyższym niż dziś staną stopniu.

Wielką wrzawę w naukowem i nawet społecznem życiu naszym wywołało „Abecadło wszechsłowiańskie“ Malinowskiego w pierwszej części *Gramatyki*, w „Grafice“, wyłożone. Zmarły urządził je z 58 znaków niezbędnych na oddanie 48 brzmień języka polskiego, najbogatszego pod tym względem ze wszystkich słowiańskich. Pobudkę raczej niż podstawę do tej nowości, dał x. Malinowskiemu alfabet jeszcze przez x. Stanisława Zaborowskiego w 1518 roku obmyślony; poró-

wnanie obu alfabetów dowodnie przekonywa, że praca Malinowskiego jest całkiem samoistną i imieniem zasłużonego badacza z epoki poprzedzającej jeszcze rozwój naszej literatury wcale pokrywać się nie potrzebuje. Przyjęto ją wogóle źle. Błędnie zupełnie zrozumiano, i określenie abecadła, i cel przed nim wytknięty.

Na x. Malinowskim ziściła się ta prawda, że nawet oderwana zupełnie od życia praca myśli, nie zabezpiecza przed życia tego ciosami: złością ludzką i bólem serca. Kto czytał „Grafikę“, ten wie, że x. Malinowski zalecał abecadło swoje jedynie tylko uczonym, że nadzieję Kopitara przeciwstawił zeznaniu, iż nowe abecadło potrzebne jest do badań w zakresie gramatyki porównawczej języków słowiańskich. Potrzebę tę wykazał uczony nasz na obrazie dziejów grafiki polskiej tak jasno, że chyba wątpić o niej już teraz nie można; a jeżeli mianowicie językoznawcy polscy dotychczas przy dawnych konwencyonalnych znakach grafiki Seklucyanowej pozostali, to nie dla braku potrzeby, ale dla niedostatecznej energii do zerwania z nienaukową tradycją.

Nie możemy tu wchodzić w stosowność kształtów, jakie nadał x. Malinowski nowo-wprowadzonym przez siebie znakom; stwierdzimy tylko fakt, że się przy swoich nie upierał, i gdy niejaki pan Rudloff z Lubeki nadesłał mu swoje poprawki, chętnie je w końcu swojej *Gramatyki* do przyjęcia zalecił. Co się tyczy samych znaków, to za zbytne dla języka naszego uważać można wprowadzenie starosłowiańskiego *joru*. Wyrazy według x. Malinowskiego wymagające tego znaku nie są liczne, i budowę swą łatwo rozpoznawać dają. Sam wynalazca abecadła swoje ciągle ulepszał i późniejsze druki stwierdzają ciągłą jego pieczołowitość i dążenie do udoskonalenia rzeczy raz przedsięwziętej.

Gdy po zamknięciu rachunków wydawnictwa *Gramatyki krytyczno-porównawczej* z darów prywatnych i pomocy udzielonej przez Tow. Prz. Nauk w Poznaniu okazała się przewyżką, której na nowe wydawnictwo użyć było można, przyjaciel x. Malinowskiego i gorliwy rozkrzewiacz jego zasad, p. Ludwik Rzepecki, przystąpił do wydania czekającej od r. 1864 na druk, a samoistnie opracowanej *Gramatyki sanskrytu*, Franciszka Boppa. Pomimo skąpo napływającej prenumeraty w roku 1872 wyszedł zeszyt I dzieła, a w roku następnym dwa dalsze, do str. 412. Na trzecim zeszytce wydawnictwo utknęło—na całe lat siedm, i dopiero wrzawa, jaką podniesiono u nas na początku roku zeszłego, przedstawiając nawet samego autora jako pozbawionego środków do życia, dopomogła do zebrania nowej prenumeraty, z którą już można było pomyśleć o wydaniu ostatniego zeszytu dzieła; zeszyt ten ukazał się już na jesieni w handlu księgarskim. Ukazanie się to było główną zasługą Redakcji *Nowin* w Warszawie, która zabiegliwością swoją najwięcej prenumeratorem zjednała. Całe dzieło ma oprócz arkusza wstępnego 581 stronic wielkiego formatu słownikowego, jak *Gramatyka* — i po niedość pełnej próbie Skorochoda Majewskiego jest pierwszą u nas pracą na polu językoznawstwa sanskryckiego.

Mówimy u nas, bo jakkolwiek *Gramatyka Sanskrytu* jest dziełem tłumaczonym, to jednakże do niego tłumacz tyleż co i autor dostarczył, a nawet i więcej, bo z tłumaczeniem krytykę dzieła i udoskonalenie jego przez własną wiedzę i rozumowanie połączył. Pięćset kilkadziesiąt uwag pod paragrafami Boppa wypisanych wprowadziło do książki niemieckiej tyle zmian, że bez żadnej przechwałki mógł x. Malinowski dzieło popolsku wydane uważać za opracowane samoistnie na podstawie jedynie gramatyki Boppa. Uważając rzecz czysto ilościowo, można powiedzieć, że połowa tekstu dzieła pochodzi od samego Malinowskiego; a gdy uwzględnimy jakość t. j. samodzielność rozwijanych poglądów, stosunek powyższy będzie jeszcze korzystniejszym dla naszego uczonego. Malinowski przez zastąpienie grafiki niemieckiej polską, o wiele stosowniejszą (np. co do ł, którego nie ma język niemiecki) uczynił dzieło Boppa dostępniejszem dla Polaków; wzbogacił zbiór wzorów do czytania w końcu dzieła; porównał liczebniki sanskryckie i litewskie z polskimi i zadziwiające ukazał między niemi podobieństwo; wprowadził

nową zupełnie zasadę do konjugacji słów i nowy ich podział, a zostawiając obok swojej pracy pracę Niemca, pozwolił każdemu wyższość jednej nad drugą ocenić. „Uwagi“ tchną erudycją szlachetną, niewymuszoną, niewysnuowaną, nieobliczoną na efekt, nielubującą się w sobie i nieprześladującą przeciwników. Wprowadzenie przez Malinowskiego nowego porządku konjugacyjnego, na równi z jego obszernem głęboko uzasadnionem dowodzeniem, wbrew lingwistom niemieckim i samemu Boppowi, że sanskryt nie zna pierwiastków zakończonych na a — jest faktem obchodzącym naukę europejską i niezawodnie pominiętem przez nią nie będzie.

Od r. 1873, w którym wyszła *Krytyka pisowni* zawartej w VI części *Gramatyki Języka Polskiego*, większej, prof. A. Małeckiego, nie ukazało się, oile pamiętamy, osobno żadne dzieło x. Malinowskiego; jeżeli były jakie, to niezawodnie zamieścił je pan Wisłocki w bibliograficznych wykazach swoich w *Przeglądzie krytycznym*, w *Kwartalniku Kłósów* i w wydawanym od r. 1878 *Przewodniku*. Rozpraw w czasopismach z tej epoki również nie znamy. Ociemniały już prawie zupełnie starzec wykończyć wtedy musiał dzieła graniczące bezpośrednio z prawoznawstwem języka polskiego. O istnieniu takich dzieł w pozostałości rękopiśmiennej świadczą zgodnie wszystkie doniesienia dziennikarskie. Trzymając się ich, oprócz nowego opracowania *Gramatyki polskiej*, wymieniamy jako pozostałe po zmarłym: 1) *Gramatykę języka starosłowiańskiego*; 2) *Gr. języka litewskiego*, według Schleichera; 3) *Gr. języka rusińskiego*, według x. Osadźcy; 4) *Słownik języka litewskiego*, według Nesselmana; 5) *Zróżkońcowy języków słowiańskich*, opracowane przez Miklosicza. Wszystkie te prace, jeśli rzeczywiście istnieją — a istnieją, doczekają się druku — będą miały znaczenie fundamentów unoszących na sobie budowę gramatyki języka polskiego; takim fundamentem jest również i *Gramatyka Sanskrytu*. Ogłoszenie tych dzieł rękopiśmiennych, gdy je znawcy za godne prac nieboszczyka za życia wydanych uznają, będzie obowiązkiem publicznym. Oprócz sześciu prac już wydanych, dwie jeszcze miały pozostać po śmierci: *Gramatyka języka ormiańskiego* i *Gramatyka mniejsza języka polskiego*, do praktycznego użytku.

Taka była działalność naukowa x. Malinowskiego; o działalności w życiu, w społeczeństwie, pisze organ miejscowy: „X. Malinowski przyczynił się znacznie w Prussach Zachodnich do założenia i rozwinięcia tam pierwszego towarzystwa rolniczego, oraz towarzystwa pomocy naukowej. Na zjeździe dyceczalnym w Pelplinie, za czasów biskupa Sedlaka, występował, jako delegat duchowieństwa, z największą energią w obronie języka polskiego i przeciw zalewaniu dycezyi duchownymi niemieckimi ze Szlązka i Niemiec. W Ks. Poznańskim należał Malinowski do grona założycieli Towarzystwa Przyjaciół Nauk i towarzystwa rolniczego w powiatach poznańskim i szamotulskim“.

Praca ustawiczna, ów święty *improbus labor* Horacego, stargała siły. Słabnący coraz bardziej organizm nie mógł już znieść większych wysiłków. W r. 1877 lub 8, podczas kazania w swym kościele parafialnym Malinowski dostał paraliżu mózgowego i odtąd tracił stopniowo siłę pamięci i zdolność wysławiania się; przy postępującej ciagle chorobie wzroku, prawie ociemniały, gasł z dniem każdym i pochylał się do grobu. Miał jeszcze przed skonem jedną pociechę: wydanie zupełne *Gramatyki sanskrytu*; potem mógł już tylko śmierci pożądać, bo choroba była nieuleczoną. Po kilkoletnich cierpieniach zmarł na plebanii swojej w Komornikach w niedzielę zrana d. 30 Stycznia r. b. Na pogrzeb w d. 2 i 3 Lutego odbyły zebrały się z Poznania i z okolicy liczne grono obywateli i sporo ludu. Sześciu wieśniaków poniosło trumnę do kościoła, z kąd nazajutrz odprawiano ją do grobu przygotowanego w pobliżu murów kościelnych. Akad. Umiejęt. i Towarz. Przyjaciół Nauk w Poznaniu, których zmarły był członkiem, przysłały swoich przedstawicieli na obrzęd żałobny. Gdybyśmy mieli Panteon, złożylibyśmy w nim zwłoki tego cichego „plebana z Komornik pod Poznaniem“, jak się sam na dzie-

lach swoich podpisywał; tymczasem niech mu panteonem będzie cała ta ziemia, którą tak kochał, a nad mogiłą swoją niech ma w najpóźniejsze wieki cichy szept swej mowy najdroższej, której zgłębieniu życie całe od początku wieku meżkiego poświęcił.

S. K.

SAMA JEDNA

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Spojrzałam na głowę jej pochyloną. Tak młoda! — posiadała napół. Płakałyśmy, mówić nie mogąc. Gorawska wiedziała o śmierci ojca, o moim losie, ale sądziła, że u stryjostwa zostaną.

Nie mogła się ani od łez wstrzymać, ani od pytań, na które, nie czekając odpowiedzi, nowemi mnie zarzucała. Nie umiałam jej tego wytłumaczyć; nie chciała pojąć, że bym ja zmuszoną była pracować na siebie. Zanosila się od płaczu.

— Domko moja. — rzekłam jej, — nie mam wyboru, los ten był mi wyznaczonym, rada jestem, że niezupełnie bezsilną spotyka. Przecież coś umiem, coś mogę i pracować potrafię.

— Tak, kochana panienko, — odpowiedziała mi. — ale tu nie o to idzie, że się chce i może pracować, ale żeby się znalazło gdzie z pracą pomieścić i wyszukać tych, co jej potrzebują.

Zaczęłyśmy z nią rozbierać czego się chwycić. Mnie się z początku zdawało, że mogłabym być za guwernantkę. Domka zakrzyzczała, zatrzepotała się cała. Zaczęła opowiadać historie różne słyszane i widziane.

Mogłam dawać lekcje rysunków, języków, nawet trochę muzyki. Domka i na to kręciła głową. Nim się coś dałoby wyszukać, potrzebowałam się umieścić. Miałam w myśli jakiś pokój przy Gorawskich, u którychbym się za pieniądze stołować mogła. Ona widać też samo pomyślała: poszłyśmy razem do nich na tę Wiejską ulicę; drugie piętro i połowa jego tylko; on, ona, troje dzieci i służa, trzy pokoje i kuchnia. Ani marzyć mogłam, aby się im stać ciężarem.

Gorawski, łysy, już dobrze podstarzały, w wytartym fraczku mężczyzna, cichy jakiś i spokojny, pocałował mnie w rękę, posadził na kanapie, załamał dłonie, ale żadnej mi rady dać nie mógł. Biurowe to zajęcia i zaszeregowanie człowieka jak kółka do wielkiej maszyny musza siły do samostniejszego ruchu odbierać. Domka sama więcej ma pomysłów, żywości niżeli on. Z wielką też czią jest mąż dla niej i słucha jej z respektem. Siedziałam tu do wieczora, a nic nie mogłismy wymyślić.

Pokoju do odnalezienia w domu tym nie było. Domka miała jeszcze spróbować: czyby od kupca zajmującego drugą połowę piętra, choć tymczasem izdebka od tyłu, mająca drzwi zastawione szafą, któremiby z mieszkaniem ich połączyć się mogła, nie dała się utargować. Gotowa była drogo bodaj zapłacić, aby mieć Domkę pod ręką.

Mój Boże, jak to człowiek nawyka do tego, żeby się zawsze o coś opierać, kimś zaskłaniać! Jest już w naturze naszej skupiać się i łączyć, a my kobiety, jako słabsze tem większą czujemy potrzebę nie być samemi. Mnie choć już Domki i jej serca trzeba było, aby czuć, że niezupełnie sierotą bezdomną.

Mamże ja skarżyć się prawo? A! nie! nie! W Tarkowskich znalazłam jakby rodzinę drugą, a w Domce jakby cień matki, której nie pamiętam. Zmieniła się ona powierzchownie, rozwinęła, troje dzieci i mąż, nieustanna potrzeba czuwania nad niemi, uczyniły ją mniej swobodną, nie tak wesolą, jak gdy mi w parku w Brzegach przyspieszała wywala krakowiaki.

....iskra w wodę prysła,
Spaliła się Wisła.

Dawniej ją pamiętałam z myślą w bardzo ciasnem kółku krążącą: dziś serce rozszerzyło głowę. Wyrobiła się, wyrosła, wyrozumiała a dobrą została, jak była. Mąż i ona okazali prawdziwie czułą troskliwość o los mój. Gdyby ten kupiec choć drogo odstąpił tej izdebki! modłę się o to. Patrząc na ruchliwe, ogromne życie miasta, myślałam, że doprawdy niepodobniestwem być musi, ażeby się tu nie znalazło jakieś zajęcie dla mnie. Nie pochlebiam sobie, ażeby umiała wiele; ale różne są potrzeby ludzi i to mało, jakie ja mam, przydać się może komuś.

Domka powiedziała mi, płacząc, jedną rzecz, prawdziwą a straszną: — Mój Boże! tak się nieboszczyk i my wszyscy, cieszyliśmy się tem, że panienska nam śliczna rosła i piękniała — a teraz to niemal nieszczęście ta piękność — bo ludzie są źli, a twarzyczka taka na wiele biedy naraża.

Tak — piękność i młodość przy ubóstwie są cięższemi. Czuję to sama, lecz zdaje mi się, że skromny ubogi strój tę trochę wdzięku, jaki mi Bóg dał, potrafi uczynić niepokaznym. Będę się starała być jaknajbrzydszą. Domka powiada, że to niepodobna — ja sobie mówię, że człowiek może co chce.

Wprawdzie bardzo drogo — kupiec się zgadza na odstąpienie izdebki, a ja jestem szczęśliwa z tego, bo Tarkowscy, którzy mnie opuszczają nie chcieli, a tym pilno do Brzegów (wynosić się z nich musza) będą mogli powracać.

Domka tę izdebkę urządziła. Szafę już odsunęto, sprzęty kupca wynoszą; za dwa dni będę miała stancyjkę moją. Gorawska łamie ręce, patrząc na nią i przypominając sobie moje pokoje, pracownię, bibliotekę, gabinet w Brzegach. — Mnie ta izdebka tak cieszy, że mi się wydaje ładną. Okno wychodzi na dziedziniec, ale słońce do niego zagłada codzień na godzin parę. Zdaje mi się tu wesoło.

Miałam jeszcze walkę ogromną z tą Domką, która chciała mnie żywić bezpłatnie. Powiedziała jej stanowczo, że tego nie przyjmę i słyszeć o tem nie chcę. Stanął więc między nami kontrakt, i zawarliśmy zgodę uściskiem.

Tarkowscy jeszcze dni parę zostają, bo on, pozbawiony miejsca, ma nadzieję znaleźć je w dobrach książęcych w...

Wyniosłam się do mojego nowego pomieszkowania. Nie wiem czy ono całe ma pięć łokci kwadratowych, lecz Grecy i Rzymianie w swych sypialniach i mieszkalnych izbach więcej nie potrzebowali, a ja gdy się przechadzać zechcę, mam ulicę i ogrody. Na łóżko, na stolik, komódkę i parę krzeseł dosyć przestrzeni, i w środku jeszcze tyle, że parę kroków zrobić można. Tłómczek wszedł pod łóżko i nie widać go. Przez drzwi słyszę hałasujące dzieci Domki, które są wesołe i grzeczne; ona zaś pilnuje aż do zbytku, aby mi nie przeszkadzano.

Do czego? Ja jeszcze sama nie wiem: co robić będę i co pocznę. Myśl moja się błąka. A! takbym pragnęła zająć się tem, co mi się niegdyś wydawało powołaniem, co było najulubieńszem: malowałabym i rysowała z takim zapalem, z taką ochotą — ale cóż z tego malowania? Ażeby dojść do imienia i znaczenia artystki, potrzeba być Angeliką Kauffmann, albo panią Vigée-Lebrun, a ja, umiem tak jak nic, nie wiem czy mam zwodniczą tylko zachciankę czy też istotną iszkierkę talentu. Dopóki byłam sobie bawiącą się hrabianką, wszystko com robiła, wydawało się ludziom ładnem, a teraz...

Nie mam nawet z sobą najlepszych robót moich, bom ich zabrać nie mogła. Tu w mojej izdebce malować będzie trudno. Słońce przeszkadza, potem i stolik zamały, a ja teraz mało jestem usposobiona. Potrzeba naprzód myśleć o chlebie.

Mogę wprawdzie żyć tak oszczędnie dosyć długo, bo mi Tarkowski więcej daleko zebrał ze sprzedaży, niżem się ja i on sam spodziewał. Jakimś cudem wszystko rozchwytało i popłacono takie ceny! Mam więc na tę drogę do życia nowego wjatyk, który wynosi tyle, ile za życia ojca i dobrych czasów w pół roku się zjadało i rozdało.

Trzeba się teraz nauczyć wartości pieniędzy,

które dawniej daleko mniej znaczyły, dziś mają wyższą cenę. Mówiłam o tem z Domką, która mnie nauczyła wiele. Nie wymagając i nie kaprysząc, ograniczając się do potrzeb istotnych, można żyć bardzo małym groszem.

Tarkowscy odjeżdżają. Genowefa utulić się nie może; on sam zaklina, abym w razie jakiegokolwiek potrzeby do niego się zawsze udawała. Uspokaja ich to tylko, że mnie zostawiają na opiece Domki — i że nie jestem — sama jedna. A przecież samą się czuję.

Pocziwa moja dawna piastunka, przy najlepszych chęciach, zamała ma doświadczenia i myśl jej krąży w bardzo szczupłym obszarze znajomych jej spraw i ludzi.

— Zrobiłam pierwszy krok, bezskuteczny, ale nauczający. ZKuryera dowiedziałam się o pani K. która ma kantor stręczeń nauczycielek. Poszłam do niej zrana. Znalazłam, szczęściem, ją samą i niebardzo zajętą. Kobieta lat średnich, z twarzą rozumną, z oczyma bystremi, na pierwszy rzut oka przyjęła mnie z pewnem zdziwieniem. Prosiłam ją o pozwolenie szczerzej spowiedzi. Wysłuchała jej cierpliwie, nie bez pewnego współczucia, lecz widocznie coraz bardziej zakłopotana, im głębiej się jej zwierzałam.

— Ażeby zostać nauczycielką — rzekła — potrzeba, abys pani naprzód uzyskała na to pozwolenie, złożyła examina. Zdaje mi się, że przy takim ukształceniu nie byłoby to trudnem, zawsze jednak czasu wymaga. Zatem idzie, że gdzieśkolwiekby się miejsce dla niej znalazło, rodzina słusznie wymagać ma prawo znać jej przeszłość, pochodzenie, prawdziwe nazwisko. Są to wszystkie rękojmie. Zechcesz — że pani zwierzyć się tak tym, co z nią umawiać się będą, jak się zwierzyłaś przede mną?

Zaczęła mi potem malować żywemi barwami wszystkie strony tego powołania, które sobie obrać chciałam, wszelkie wymagania i to co — niespodziewanie spotkać mnie mogło. Mówiła otwarcie, ale nie bez gorzkości.

— Żal mi pani — rzekła — lecz czyż rodzina jej...

— Ja chcę sama być panią losu, chcę pracować — odparłam.

Mówiliśmy długo; przyznałam się jej do mojego miłośnictwa sztuki. Nie wiem, czy dlatego, aby się mnie pozbyć, czy z dobrej woli, w którą wierzę, dała mi adres i liścik polecający do profesora P... radząc, abym się udała do niego. Znałam go dawniej z nazwiska i z prac dosyć udatnych i z pism kilku o sztuce, chociaż, zbyt korzystnego o talencie jego wyobrażenia nie miałam.

Człowieka całego wszakże z dzieł kilku sądzić nie można, omylić się łatwo. Rzadko on całą swą duszę, talent, ducha, może zamknąć w jednym utworze. Często odbijają się w nim strony ujemne, zatrą dodatkowo. Zatem postanowiłam pójść do profesora.

Domka zganiła mi, że się udałam do pani K.; a do profesora, bojąc się, aby mi nie odradzała, nie przyznałam się, że pójść postanowiłam.

Nazajutrz, o godzinie dziesiątej byłam u drzwi pracowni jego. Człowiek nie młody, z twarzą zastygłą, pospolitych rysów, ubrany niedbale i ubogo, siedział właśnie nad — restauracją starego obrazu, gdy zapukała. Skrzywił się, list odbierając, popatrzył na mnie, przeczytał go, zamruzczał i spytał:

— Czegóż pani sobie życzy? ja lekcji nie daję — hm.

— Chciałam prosić o radę — rzekłam. — Jestem uczennicą starego M...

Usłyszawszy to professor, spojrzał na mnie, i mruknął:

— M... gadał wiele, rozprawiał o sztuce dobrze, ale partola był.

Zamilkłam.

— Cóż pani chcesz z tego zrobić — dodał kwaśno: gdy się nauczysz rysować i malować? Czy pani myślisz, że to chleb daje? że to sławę daje? że z tem można żyć i z tego żyć?

Począł się śmiać.

— Spójrzyj — że pani na mnie — ciągnął dalej — Ja od lat trzydziestu chodzę w tym pługu i — na starość muszę liche obrazy restaurować, aby licho wyżyć. Dla kogo tu u nas malować, co? Portrety?

Nie śmiałam się odzywać; professor wrócił do

stalugi, na której stało płótno prawie całkiem zczerniałe, spękane, w części już nielitościwymi nowymi pokładami farb poodświeżane i strasznie rażące sprzecznością cieniów i barw jaskrawych. Siadł i, poczynając malować—mówił dalej:

— Rysowałaś pani z gipsów, z natury? Stary jej nauczyciel, sam lichy bazgrał, ale uczył nie źle.

Odpowiedziałam na pytanie, lecz on zdawał się nie zważać na to, com mówiła, i ciągnął dalej:

— Z malowania na świecie nikt nie miał nic, oprócz żółci i kwasu. A! tak! Rubens posłował, Rembrandt grosza uciulał, ale nie u nas oni żyli. Czem u nas sztuka? Ludzie majątni, którzy dla próżności przybierają miłośnictwo jej, kupują tylko co obce; ludzie ubodzy myślą o czem innem. Ja się panience na to bawić nie radzę. Dzięki Bogu masz piękną twarzyczkę, zostaniesz żoną i gospodynią—to i lepiej.

Chciałam już odejść, ale, popatrzywszy na mnie, wskazał mi krzesło i gderał ciągle:

— Tego starego M.... który, jak powiadacie, był nauczycielem waszym, znałem ja dobrze. Zawsześmy się z nim kłócili, bo mówił wysmienienie a malował nieosobliwie. Siedział on długo na wsi u hrabiego Scibora, który był jednym z wyjątkowych u nas ludzi. Znał się dobrze na sztuce i miłował ją, a artystów szacować umiał, nawet domorosłych. M.... uczył tam jego córkę, o której talencie cuda głosił, ale to był zapaleniec.

Zaczerwieniłam się mocno, gdy to mówił, i byłabym się zdradziła rumieńcem, gdyby był spojrział na mnie; ale on malował pilnie. Wdzięczną mu byłam z serca za dobre słowo o ojcu, którego tak sprawiedliwie ocenił. Ja mu się stawiałam jako Brzeska, i nie domyślał się we mnie Sciborzanki. Ani mu też przyznać się mogłam, kto byłam. Dodałam tylko, że właśnie i ja naówczas z lekcji M..., korzystałam.

— No, to początki nie złe być mogą — mówił ciągle—ale co to są początki? Nauczyć się rysować lub malować, jest to toż samo, co nauczyć się pisać. Idzie o to, czy się w sobie co znajdzie do wypisania. Nie za panią matką pacierz, bo to jest przepisywanie, ale własnym duchem, myślą własną. Mnóstwo ludzi maluje i pisze wcale dobrze, ale na malowania ich patrzeć, a pisanie ich czytać, nic nie przynosi. Trzeba w jedno i w drugie ducha włożyć. Gdy tej iskierki w nich niema, martwe to roboty.

Spojrzał na mnie; słuchałam uważnie.

— Ja znam ludzi—dodał—co malować nie umięją, a jak nabazgrzą coś, to w ich smalowidle drga życie. Już takich wolę, niż tych, co doskonale pędzują, a rzemieślnicy są.

Nauczy się jeden koni: maluje całe życie konie i—dość na tem; drugi trochę nieba ma i krzaków, temi całe życie, coraz je inaczej składając, handluje; dalej nie idzie i—nie szuka więcej. Tak samo parą chłopów lub żydem można całe życie przekarmić się lichem. Niech-by tylko choć w tem życie było. Ale to już dalej, dalej ręka się nauczy, niepytając głowy, robić ogony i brody, i pnie i obłoki. A wszystkie jak rodzeni bracia, jednej matki dziatki.

(Dalszy ciąg nastąpi).

MARYA ANNA CROSS

(Jerzy Elliot).

(Dokończenie).

Jest to sądem Jerzego Elliot o Maggie Tuliwer, czyli mówiąc wyraźniej sądem Maryi Anny o sobie, że to namiętna gorącość jej uczuć, w połączeniu z wyższością umysłową, więc z odmiennością zdań i poglądów, stawiała ją w ustawicznej kolidacji z ludźmi. Czy przecież tak jest rzeczywistość? Czy to była siła serca miłosna, a nie samowola raczej i duma, która już w dziecku wybuchała tak gwałtownie, że pokój i harmonia pożycia rodzinnego zakłócała się stawała? Pamiętnik jej

z lat dziewczęcych, jak *Mill on the Floss* nazwanym być może, wykazuje już indywidualność tak silnie rozwiniętą i skoncentrowaną w sobie, że w każdej sprawie przedewszystkiem siebie widzi, swoje uczucia, swoje potrzeby serca i umysłu na pierwszym planie stawia i wtedy nawet, kiedy kocha, kiedy kocha najmocniej, chce despotycznie nad przedmiotem miłości swojej panować i kocha, rzec można, dla siebie. Więcej tkliwości serca, nie powiem już, kobiecej, ale ogólnie ludzkiej, a głównie mniej krytyki, mniej dumy z wyższości swej umysłowej, więcej pobłażania dla ludzi niższych i niższymi szlakami życia chodzących, a dzieje jej życia byłyby się ułożyły łagodniej, szczęśliwiej. Ale ona bezwzględna jest i wyniosła; do nikogo i niczego stosować się nie chce, swoją własną drogą wbrew obyczajom i formom przyjętym kroczy, a potem zatruwa się gorczyzą i żalem, gdy to wywołuje odpór, gdy sąd ludzki źle o niej wypada. Przecież inaczej być nie mogło, bo te formy, ten obyczaj, którym ona pomiata, to ochronne obwarowanie moralności przez społeczeństwo i kto je łamie, nadwiera władzę społeczeństwa tego nad członkami swemi, wnosi w nie rozstrój, burzy karność etyczną i rozluźnia węzły spójności towarzyskiej. Jest też w postępowaniu takim pyszne wynoszenie się nad innych, stawianie się pod zasłoną prawd wyjątkowych, jest tkwiący w gruncie rzeczy pierwiastek samowoli egoistycznej, która niewątpliwie działała w Maryi Annie i która rozdzieliła ją najpierw z rodziną, a potem postawiła poza granicami społecznych i moralnych praw towarzystwa.

Tak... smutna i surowa prawda zakrytą być nie może. Nad tym pisarzem znakomitym, nad tą kobietą genialną zaciężył ostracyzm bolesny i próżno bronić się przeciw niemu napisała („Times“, 16 kwiecień 1859 r.): „Jestto rzeczą niemającą uniewinnienia i delikatnością bardzo zagadkową, gdy ktoś bez żadnego osobistego interesu docieka tego, co widocznie i umyślnie zakrytem pozostaje“. Ale odkąd cywilizująca się ludzkość z dzikości wyszła, ludzie stali zawsze i zawsze stać będą, stać muszą pod kontrolą wzajemną a żadna wyjątkowość miejsca tu mieć nie może i nie powinna. Nie miewa go też: poza pisarzem stoi człowiek i jak nad jednym istnieje sąd krytyki literackiej, tak nad drugim jest sąd opinii, tem surowszy, im ideał moralności publicznej jest w społeczeństwie jakimś wyższy. Niema też moralności dowolnej, na osobisty użytek jednostek służyć mogącej jeden z komentatorów, krytyków Jerzego Elliot, Juliusz Schmidt, głęboko rozumnymi słowami Plutarcha sąd swój tak tu wydaje: — „Cudzoziemcze! Prawa i obyczaje ludzi są rozmaite. Jedni to, drudzy co innego nazywają dobrem i pięknem, ale to jest powszechne, to już dla wszystkich pięknem jest i dobrem: aby każdy szanował to, co między jego współobywatelami jest obyczajnością, i tej czci postępkiem swemi dowodził“.

Marya Anna wyłamała się zpod tej reguły: zniszczyła szczęście drugiej kobiety, zburzyła uczciwe ognisko rodzinne i wzniosła na jego miejsce to, co było już o tyle bezprawnem, że potrzebowało być „umyślnie zakrytem“, więc coś, co wstydzilo, co raziło uczucie moralne, co według „obyczajności jej współobywateli“ przeciwstawiało się pięknu i dobru — czyniło się zgorznięciem publicznem.

A niedość tu jeszcze, jeszcze tego zamało, że nie było to u niej skutkiem prostego zepsucia, lichym, pospolitym upadkiem. Rzuciła się w stosunek nieszczęśliwy tak, jak, dzieckiem będąc, zbiegła rozpacznie do obozu cyganów po złym, niemilościwym postępkowi strącenia w błoto krewnej swojej, słodkiej, łagodnej, złotowłosej Luci za to, że ją przełożyli nad nią ci, których ona kochała, a którzy woleli tamtą, nie dlatego zapewne, nie dlatego wyłącznie że złotowłosa, ale, że miała dobroć, tkliwość uczucia kobiecego, wdzięk kobiecej miłosnej natury. Marya Anna przyznaje się w *Młynie na Floss'ie*, że wskutek doświadczonej zazdrości czuła w sobie od lat dziewczęcych pożądanie walczenia ze „złotowłosą“: z kobietą łagodną, potulną, serdeczną; cóż przecież przyszło jej z tego, że w namiętnej unie-

sieniu straciła tamtą w dół, że jej niszczyła jasne szaty świąteczne, że ją odarła ze szczęścia? Czy sama zyskała je przez to, szczęście owo? O nie! stokroć nie! Ona, tak subtelnie umięjąca rozbierać wszelkie odcienie uczucia, czegoż musiała doświadczać wtedy, gdy, zastępując obok niewiernego miejsce wypartej przez nią, a wkrótce potem samotnie zmarłej żony, myślała o jej chwilach ostatnich, o jej łzach, tęsknotach opuszczonej? Oddaje to ona gorzko i posępnie, malując uczucia Maggie Tuliwer w położeniu podobnem, ale nie takim jeszcze, bo Maggie zdobywa się szybko na ofiarę, do jakiej ona się nie podniosła: Maggie oddaje Lucyi tego, który do niej przez najświętsze prawa uczciwości ludzkiej należał. Ale ona nie; ona w buncie przeciw moralnym i społecznym prawom świata łup swój zatrzymuje, czy związana przez fatalność, która dla niej kryła się w hardości jej ducha, czy może przez namiętność, której pozwoliła się rozwinąć. A nie odkupi już grzechu tem, że jest następnie w położeniu swem drażliwym najczystiej uczciwą kobietą, że do końca życia Lewesa zostaje mu wierną, pełną poświęcenia towarzyszką i chowa z troskliwością najlepszej matki sieroty po biednej zamężonej: dwóch synków, którzy mieli też darzyć tę niby macochę miłością prawdziwie synowską. To właśnie wydaje mi się rzeczą potworną, niemal świętokradzką i przyznam się do bardzo gniewnego oburzenia, gdy w opisie pogrzebu M-s Cross znalazła wzmiankę o dwóch synach Lewesa, postępujących na czele orszaku pogrzebowego i składających jej zwłoki, obok prochów ojcowskich.

A tamta, opuszczona ich matka, gdzie leży w grobie samotnym?

Prócz złamania praw tej już najogólniejszej, najprostszej moralności, którą waruje ludzkości nakaz: Nie krzywdź, nie okradaj, nie rabuj bliźniego twego... Marya Anna popadła przez związek swój z Lewesem w przestępstwo drugie: kłamała i trwała w kłamstwie, używała przez lata długie w stosunku z ludźmi nazwiska, którem nie mogła była podpisać się nigdy legalnie, zajmowała stanowisko przywłaszczone tylko. A przecież to przez nieugiętą niby szczerość, przez dumę ducha niecierpiącego fałszu zerwała niegdyś z rodziną, zerwała z najdroższymi sobie...

Czy wypłynęło to także z jej religijnych i społecznych przekonań, że Lewes, mogąc to już po śmierci żony uczynić, nie uprawnił jednak swego z nią związku przez błogosławieństwo Kościoła i akt ślubu cywilnego?

Nie, bo przecież z drugim ukłękła przed ołtarzem Boga, drugi został z nią połączony według praw jej ojczystego kraju i kapłan jej wyznania modlił się potem nad jej ciałem za odpoczynek wieczny, za światło wiekuiste dla jej ducha.

Więc musiała się i tu poddać pod ciężkie jarzmo najboleśniejszego, okrutnego przymusu, — nieszczęśliwa!

Tem tylko: tylko nieprzepartem pragnieniem wyjścia z upokarzającego ją stanu, nabycia jakiegos legalnego nazwiska choć dla grobu, wytlomaczyć sobie można małżeństwo sześćdziesięcioletniej w siódmym miesiącu po zgonie Lewesa, który umarł w listopadzie 1879, a ona wyszła za mąż w maju 1880. Poczekala trochę dłużej niż matka Hamleta, zawsze przecież nie zdarła wdowie żałoby...

A jednak ta kobieta umiała myśleć i sądzić, podnosić wzrok wysoko; ta kobieta była zdolną tworzyć ideały bez zmayı, czuć co jest godność niewieścia, rozumieć delikatność uczucia w subtelnościach jego najwyższych — ta kobieta miała w sobie iskrę wysokiego talentu i nie była zepsutą, bo mimo to nie popadła jednak w ten stan moralnej nędzy, w której upadek następuje po upadku, aż wstyd kobiecie już zaniknie i zastąpi go cynizm zachwytów. Nie, ona taką nie była, bo wtedy już nie trzebaby było dziwić się jej postępkom i rozbierać ich, nie trzebaby już było dobadywać się przyczyn i rozsmucać się żałośnie nad tem życiem pełnem sprzeczności niepojętych.

Zostawiła też po sobie ludzkości naukę wyższą, niż ją dać mogły wszystkie stworzone przez pióro jej postacie, a między którymi żadna nie jest tragiczniejszą od niej samej: ani skazana

na śmierć dzieciobójczyni Hetty Sorel, ani matka Felixa Holt, ani żadna inna. Chcieć i móż się drogą życia tak górną, tak wyniosłą, a zejść tak nisko, że w kwiecie jej życia pada na nią wstyd, dla którego to życie musi być „umyślnie zasłoniętem“, a wiek jej sędziwości dotyka aż śmieszność: zaliż to nie dola poniżenia okrutnego, którego przecież czyż jej nie przygotowała właśnie duma bez granic, pycha umysłu, który przed niczem nie chciał się ukorzyć, żadnej powagi uznać, od nikogo, nawet od mądrości wieków, na pomoc życiową nie wziąć? Mści się to potem na niej okrutnie, to pogardzone, to odrzucone wyniosłe, bo gdyby tłumaczka Straussa, Feuerbacha, filozofka przyjmująca Ewangelię Comte'a w miejsce Ewangelii Chrystusowej, była posiadała choć tę skromną, prostą religią matki swojej, tę religią tłumów wiesniaczych, o której pisze w *Młynie na Floss'ie*, że „zdaje się być pewnym rodzajem pogaństwa“, gdyby była trzymała się nienaruszenie pojęć tej choć moralności, która „nie podnosi się ponad poziom zwyczaju dziedzicznego“: nie byłaby nigdy zesłała na te smutne życia niziny, gdzie musiała niewątpliwie wycierpieć w cichości tortury najsroższych męczarni.

Kiedy dziewczę młodziuchne, lecz niewidzące już wtedy nic wyższego nad rozum, roztrząsało niemilosierdną, zimną krytyką małość umysłową kobiet innych, dowodząc, że wszystkie są przez to gorsze od mężczyzn, a brat starszy ją ostrzegł, że i ona będzie kiedyś *kobietą*, odparła mu wyniosło, głowę w tył odrzucając:

— I shall be a clever woman.

Bystra kobieta, mądra, genialna kobieta, padła jednak tak nisko, tak nisko niezmiernie, tak nie zebrała sobie na szczęście życia nic—że można zapłakać nad nią łzą żalu gorącą. Nawet sława nie dopisała jej do końca: można powiedzieć, że ją przeżyła. *Middlemarch* było ostatniem jej dziełem wielkiego rozgłosu, wielkiego uznania, a nawet dla szlachetności bohaterki głównej, dla pięknej, idealnej postaci Dory, najwyżej ze wszystkich ceniomem w jej ojczyźnie. Honorarium za kilka w kolei idących wydań, dosięgło też kolosalnej nawet na Anglię summy, pół miliona franków, ale był to już promień blasku ostatni. *Daniel Deronda* wywołał krytyki bardzo ostre bardzo cierpkie. Ujęto się surowo za poniżeniem w nim chrześcijaństwem; nazwano w Anglii tę powieść: „Gospel of Jewish Aspiration“, bo tu już znika w zupełności nawet jej dawny pozytywny chrystianizm, znika religijność wogóle i zastępuje ją to w całości idee humanitarne. Strona rzeczy artystyczna odbiła na sobie zmianę zaszłą w jej duchu, i krytyka, wykazując suchosć, oschłość, chłód wiążący z kart, przeładowanych rozumowaniami, widzi w tem zatracenie miłości, słodyczy i tej wogóle uczuciowości łagodnej i miłosiernej, która weszła w serca ludzkie z chrześcijaństwem.

Autorka odczuła to tem silniej, że jej następne utwory: szkic filozoficzny: *A College Breakfast*, *The Impression of Theophrastus Such*, *Brother Jakob*, przeszły bez żadnego rozgłosu. Owdowiała, wyszła zaraz za zupełnie nieznanego w świecie literackim, a od niej o dwadzieścia lat młodszego, człowieka, z którego matką łączył ją niegdyś stosunek życzliwy, i który był wykonawcą ostatniej woli Jerzego Lewesa.

Po ślubie biedna stara panna młoda wyjechała z mężem do Włoch, do Wenecyi, a za powrotem do Londynu, w cztery dni po tej sesyjnej przejażdżce—umarła!

Pogrzeb jej był chrześcijański, a co więcej, ostatnią książkę, jaką przed śmiercią czytała, a którą Spencer znalazł otwartą na jej biurku, było „Naśladowanie Chrystusa“.

Jerzy Elliot nie pierwszy raz miała tę książkę w ręku. Spotkała się z nią przypadkiem jeszcze dziewczęcim, i rzecz dziwna, ta dusza harda a życia pełna, ruchu, czynu, potrzebująca, wrażeń żadna, przylgnęła do niej i powiedzieć można, że czerpała z niej chętnie naukę zaparcia się i spokoju. Była wtedy ciężko smutna: rwała się do czegoś, czego w koło niej nie było, pragnęła a nie wiedziała, gdzie sobie szukać zdroju, któryby ugasił jej pragnienie, ale wrażenia swoje z tych czasów spisywała w wiele lat potem, kobietą już dojrzałą, już w związku z Lewesem, w 1860 roku, a je-

dnak zapisuje karty całe wyjątkami z tej książki smutnej, wołającej, że istota ludzka nie powinna kochać siebie, nie powinna szukać szczęścia na ziemi, bo znajdzie wtedy tylko niepokój, tylko gorączkę, tylko żal nieukojonny. „Jeżeli będziesz ubiegał się za tem lub owem, jeżeli zwrócisz się tu, lub owdzie, aby zażywać woli własnej i rozkoszy, nie będziesz nigdy spokojną i wolną od udęczenia: bo we wszystkim czegoś ci zabraknie, na każdym miejscu znajdzie się coś, co ci dokuczy... wypisuje z kart pożółkłych, na których nieznaną jej czytelnik dawniejszy (książka była nabytą od kramarza) poznaczał piórem miejsca, tchnące najsilniej pragnieniem oddalenia od siebie wszelkich zabiegów o używanie ziemskie. Znaleźnienie tej książki przy Maryi Annie niemal że w godzinie śmierci dowodzi, że nie porzuciła już jej nigdy, że była jej ona potrzebną zawsze i u końca istnienia swego, mając po za sobą życie tak pełne wrażeń i wzruszeń różnorodnych, a głównie tak pełne przemysliwań i wiedzy, czerpanej z traktatów i ksiąg wszystkich narodów świata, zapotrzebowała, nauki tej samej mądrości, która nakazała Romoli szukać uciszenia bólów serdecznych w oderwaniu się od siebie i zaparciu się siebie. To, co pisała w 1860 r. „o Niewidzialnym Nauczycielu“, było z nią zatem w ostatniej godzinie jej życia.

Niech ten spokój, którego tak niespokojnie szukała i znaleźć nie mogła do końca, danym jej będzie tam, gdzie uszła, z przebaczeniem błędów i win których się dopuściła, doszedłszy do nich bez złej woli u początków drogi: ślizka była pochyłość, po której się puściła, a namiętna i harda, już się zatrzymać na niej nie mogła.

We dwa dni po jej śmierci (24 Grudnia 1880 r.) w liście zamieszczonym w gazecie *Daily News*, wierny od lat młodych przyjaciel jej, Spencer, poświęcił kart kilka odmalowaniu tej duszy silnej, tego charakteru niepospolitego i zbił twierdzenie, jakoby wpływ Lewesa odbijał się na jej utworach literackich i nadał im ten kierunek filozoficzny, jaki miały, ze szkodą dla strony artystycznej. Nie—Spencer nie przyznaje również, aby i on sam miał kiedykolwiek nad nią moc taką, moc kierowania jej umysłem. Był to duch tak niezawisły, że nikt w podobny sposób oddziaływać nań nie mógł: ta kobieta sama sobie wszystko zdobywała, sama gruntowała te źródła wiedzy, których zapragnęła, a była tak chciwą nauki, wiadomości, że nie prawie w dziedzinie umysłowych spekulacji obcem jej nie zostało. Jedno mniej, drugiej więcej przypadło jej do umysłu i, silniej go pociągawszy do siebie, dalej w głąb prowadziło, ale żadna droga myśli ludzkiej nie pozostała jej nieznaną; ciekawość jej umysłu poprowadziła ją wszędzie i nie dała się zatrzymać przed najpracowniejszym trudem, którego nigdy się nie lękała, a raczej pragnęła, znajdując mężką rozkosz w zwyciężaniu go. Szczególniej długie ustępy fiziołogiczne, zamieszczone w *Middlemarch*, naprowadziły ogół na domysł, że jest tu pewne współpracownictwo Lewesa. Ale nie: wszystko, co napisała, jest jej własnem, z jej spostrzeżeń, słęceń naukowych i z jej namysłów powstało; wszystko tu oryginalne.

I złe i dobre z jej własnych głębin ducha wychodziło, dlatego też, mimo całego pozytywizmu filozofii swojej, nie zaprzeczyła nigdy moralnej odpowiedzialności człowieka, nie zrzekła się jej nigdy. Za silną była na to, za dumną, za świadomą ducha swego w sobie i poszła też na sąd Boga ze swoją własną zasługą i winą, z cierpieniem skrytem, które było jej karą i które na szali przeważającej jej życie zaważyło może więcej, niżeli jej talent, i rozum, i nauka.

M. I.

Korrespondencya zagraniczna.

Lwów, w Styczniu 1881 r.

Pierniki Czyńskiego. — Karnawał. — Koncerty — „Opatrzność“, towarzystwo ku usunięciu żebractwa. — Wieniawski. — Mleczarnia higieniczna. — O niższego rzędu grybkach, przez Dra Wojciecha Urbąskiego. — Ogrody północne Strumilly w uzupełnio-

nem i przerobionem wydaniu profesora Tynieckiego. — Praktyczny podręcznik do obliczania procentów. — Zarys dziejów literatury polskiej, przez profesora Kulickowskiego. — Świat powieściowy, pismo peryodyczne. — Dziwne karyery, powieść Jana Lama. — Humorystyczne powieści autora *Kłopotów starego komendanta*. — Muzeum imienia „Dzieduszyckich“. — Wyprawa myśliwska do Syrii. — Kornel Krzczunowicz.

Zacznijmy od... pierników. Jeżeli cieszy nas każdy postęp w którejkolwiek gałęzi przemysłu, jeżeli radzi witamy założenie każdej nowej fabryki, umiejacej dobrze spożytkować zasoby kraju i spółzawodniczyć udoskonalonym wyrobem z zagranicznymi: czemuż nie mielibyśmy z równą przyjemnością powitać nowozałożonej fabryki pierników p. Czyńskiego w Jarosławiu, której właściciel uczynił Lwowianom prawdziwie miłą niespodziankę noworoczną, otwierając tutaj ich sprzedaż? Pierniki p. Czyńskiego zyskały na wystawie przemysłowej cieszyńskiej ubiegłej jesieni medal, a miały taki odbyć, iż, pomimo codziennego dowozu, trudno było nastarczyć żądaniu wszystkich gości wystawowych, chcących skosztować galicyjskiego przysmaczka. Wnet i w Wiedniu zjednały sobie one rozgłos i odbyć; a że na to zasługują, przekonał się sam tu na miejscu, we Lwowie, odkąd p. Czyński zaczął nas wyrobem swym zaopatrywać. Podczas świąt namiot p. Czyńskiego, rozpięty w rynku, był obleżony przez kupujących, a jego pierniki i sucharki rozmaitego rodzaju, weszły u nas w modę, tak, iż w każdym zebraniu towarzyskiem, przy każdej herbacie z nimi się spotykamy. Jest u nas przysłowie, że *piernikiem i do piekła zwabi*. Nie wiem ile prawdy zawiera się w tem przysłowiu, ale to pewna, że gdyby tak być miało, to pierniki p. Czyńskiego byłyby pod tym względem niebezpieczniejsze jeszcze od innych.

Karnawał rozpoczął się u nas wielkim przyjęciem u prezydenta miasta i balem u namiestnika. Nie potrzebujemy dodawać, że obie te zabawy były świetne. Zgromadziło się na nich wszystko co Lwów posiada najznakomitszego z intelligencji, z arystokracji rodowej i pieniężnej. U namiestnika znajdowało się też wiele osób i rodzin zaproszonych z prowincyi. Świat urzędniczy i wojskowy liczący tworzył tutaj zastęp w gronie gości. U prezydenta miasta przeważały, rzecz naturalna, kontusze mieszczańskie. Po tych dwóch zebraniach, które można nazwać inauguracją karnawału, poszły, zwykłą koleją, liczne zabawy domowe i publiczne, herbaty tańczące, bale na cele dobroczynne i na korzyść rozmaitych fundacyj i towarzystw, jakoto: bal prawników, bal Towarzystwa Muzycznego i inne. Obok balów mieliśmy też w tej porze kilka koncertów na cele dobroczynne, mianowicie koncert pięciu muzyków wojskowych na dochód pogorzelców krzywczyckich, dotkniętych przed kilku tygodniami pożarem tak strasznym, że cała niemal wieś z wszystkim dobytkiem zgorzała. Drugi koncert, połączony z teatrem amatorskim, odbył się na korzyść towarzystwa „Opatrzność“. Donosiłem wam już o tem towarzystwie, przybierającym coraz szersze rozmiary, które może stanąć czasem w rzędzie najpożyteczniejszych instytucyj filantropijnych, jeżeli tylko zgromadzić zdoła dostateczne fundusze i dostateczną liczbę osób, chcących się zająć osobiście popieraniem usunięciem żebractwa. Zawijają się też w tym celu komitety żeńskie w mieście i po przedmieściach. Pięć takich komitetów, obejmujących swą działalnością najdalej części miasta, będzie wielką pomocą dla biura centralnego w wyszukiwaniu i nadzorowaniu ubogich, pozostających pod opieką „Opatrzności“. Komitety te zbierają się peryodycznie w ochronkach, znajdujących się w każdej dzielnicy miasta.

Potrąciwszy o koncerty, nie podobna pominąć bez wzmianki popisów Józefa Wieniawskiego, którego przyjazd poruszył cały nasz świat muzyczny i wielką uciechę artystyczną sprawił tutejszym melomanom.

Oddawszy należyty hołd karnawałowi, pożegnajmy na teraz bale i koncerty, i przejdźmy do rzeczy mających nie już samą zabawę, ale coś trwalszego i pożyteczniejszego, na cel. Pierwszą nasuwa się tu wiadomość o powziętym przez gro-

ni higienicznej, to jest takiej, w której będzie można dostać prawdziwego krowiego mleka i nabiału żadnym sztucznym niezaprawnego surrogatem. Jeżeli idzie o fałszowanie artykułów spożywczych, to Lwów ma wszelkie prawo uważać się za wielkie miasto. Do jakiego stopnia dojsz może fałszerstwo podobnego rodzaju, przekonaliśmy o tem zdumioną publiczność przed laty kilku proces wytoczony niesumieinnemu dostawcy wina do tutejszego szpitala głównego. Rozbiór chemiczny wina czerwonego, mającego być prawdziwym winem francuzkiem, którego przez czas dłuższy dla pokrzepienia sił używali chorzy w szpitalu, okazał, iż w płynie tym, złożonym z alkoholu i rozmaitych barwników, nieszkodliwych, co prawda, nie znajdowała się ani kropla soku winogronowego. Do podobnej bezczelności na jaknajszersze rozmiary doszło tutaj, a mianowicie w całej okolicy Lwowa, dostarczającej nam nabiału, podrabianie mleka, zwłaszcza smietanki. Jest to surrogat z rozgotowanych mózdków i kaszki, w którym tłuszczu mlecznego zawiera się tyle, ile we wspomnionem winie francuzkiem winogronowego było soku.

Do jakiego stopnia narażeni jesteśmy na działania nieprzyjaznych zdrowiu czynników, połykając je nie tylko w podrabianem mleku i innych pokarmach i napojach, lecz z każdym niemal odczynnikiem, wykazuje nader zajmująco i przystępnie praca d-ra Wojciecha Urbańskiego go, autora *Fizyki umiejętności*, niestrudzonego na tem polu badacza przyrody, świeżo wydana pod tytułem: *O niższego rzędu grzybkach głównie ze względu na higienę*. Te-to grzybki i bakterye, częstokroć niewidzialne golemu oku, są zaciętym nieprzyjacielem zdrowia i życia naszego, tem straszniejszym, iż do skutecznej walki z niemi należałoby być nieustannie uzbrojonym w mikroskop, jak w kieszonkowy rewolwer. Prof. Urbański zapowiada, że zamierza wydać dwie obszerniejsze prace treści higienicznej, w której często powołuje się na działania owych grzybków, objawiających się w różnym kształcie w życiu przyrody. One-to są przyczyną pleśni, wszelkich fermentacji, gnicia, butwienia... walczyć z niemi w życiu powszednim potrzeba na każdym kroku, zawsze i wszędzie, w kuchni i w piwnicy, w gospodarstwie wiejskiem i w każdym rzemiośle. Aby zatem nie przerywać ciągu opowiadania w następnych swych dziełach higienicznych, podaje prof. Urbański rozprawę niniejszą jako wstęp do prac tamtych, aby nie był zniewolony odrywać uwagi czytelnika tłumaczeniem objawów będących przyczyną wielu chorób najnowszymi dopiero czasy umiejętnie zbadanych objawów, których istotę i fizjologiczne własności w niniejszej opisał rozprawie.

Są tu opisane treściwie wszystkie rodzaje owych grzybków, przypraszających niejako całą przyrodę roztwarzającymi zaraźliwymi pierwiastkami. Autor śledzi je wszędzie: w atmosferze, w wodzie, w miazmatkach epidemicznych rozlicznych chorób śmiertelnych; wydobywa je na jaw, wykazuje odrębne właściwości każdego rodzaju onych zabójczych bakterij, pleśni, zarazków, i podaje sposoby tępienia ich. Z braku tej-to świadomości popełniamy wszyscy, powiada, grzechy higieniczne, jawnie i potajemnie, poczynając od elegancko ubranej damy, która zamaszystym ogonem swej sukni zmiatając chodniki miejskie, nie tylko napędza kurz uliczny, a z nim różne szczątki organiczne i bakterye do płuc własnych i wszystkich przechodniów, ale nadto przynosi na sobie dzialeczkę swym do domu w podarku owe grzybki, które, przez delikatne błony płuc dziecięcych z oddechem do krwi się dostawszy, stają się przyczyną śmierci dziecka a rozpacz matki — a skończywszy na ćmiącym fajkę lub cygaro postępowcu XIX wieku, który, nieposkromiony w żądzy otaczania siebie i innych kłębami dymu w domu i wszędzie, w kasynie i w wagonie, zanieczyszcza powietrze tlenkiem węgla, zdrowiu naszemu, zdaniem autora, jeszcze bardziej szkodliwym niżeli *nikotyna*, której szkodliwość palenia tytoniu zwykle przypisują. Praca niniejsza d-ra Urbańskiego, oparta na zasadach ściśle umiejętniej teorii, z najnowszych wysnutej badań, przez sposób i jasność wykładu ma wartość praktyczną pożytecznego

w życiu powszednim przewodnika i doradcy higienicznego.

Die Welt ist doch schön — piękny jest świat: prawdę powiedział Schiller. Obok grzybów pasożytów i zaraźliwych miazmatów, rosną kwiaty i owoce, ręką tejże samej przyrody stworzone, jakby na to umyślnie, aby człowiekowi, umięjęmu, poznać się na ich piękności i pożyteczności, uprzyjemnić i osłodzić życie. Zamiłowanie w ogrodnictwie i pielęgnowanie sadownictwa jest zawsze cechą postępu cywilizacyjnego w społeczeństwie — uprzyjemnieniem życia. Dla miłośników ogrodnictwa nieobojętną zapewne będzie wiadomość, że rozgłosne niegdyś u nas dzieło: *Ogrody północne* Józefa Strumiłły, wielokrotnie wydawane i zawsze wkrótce po wyjściu z prasy wyczerpywane, wyszło obecnie w nowym wydaniu w trzech tomach, przerobione wedle dzisiejszego postępu botaniki i pomologii przez profesora tutejszej szkoły leśniczkiej, znakomitego botanika p. Władysława Tynieckiego. W wydaniu tem znajdujemy niektóre części dzieła Strumiłły zupełnie przetworzone, tak, iż słuszenie można to wydanie niniejsze za całkiem nowe dzieło uważać. Wydawca poprzedził je obszernym, oryginalnie przez siebie napisanym, wstępem, zajmującym połowę pierwszego tomu, którym wyłuszczył zasadnicze warunki fizjologii roślin wogóle, zastosowane głównie do warzyw i drzew owocowych. Dalej idzie nauka pielęgnowania ogrodu owocowego, z gruntu umiejętnie przerobiona. Drugi tom zawiera ogród warzywny, w którym tylko rozdział o ziołach lekarskich pozostał w swej pierwotnej osnowie bez znacznego przerobienia, podobnie jak tom trzeci, mówiący o zakładaniu ogrodów kwiatowych i spacerowych. Porównawszy dzieło niniejsze z dawniejszymi wydaniem *Ogrody Strumiłły*, uważać je musimy w wielu mianowicie ustępach za pracę całkiem oryginalną wydawcy. Prof. Tyniecki pozostawił, że tak powiem tylko szkielet przestarzałego już dzisiaj pierwotnego dzieła, a wypełnił go umiejętnym przedstawieniem zasad postępowego, zastosowanego do dzisiejszych potrzeb naszych, ogrodnictwa. Główną cechą tej pracy prof. Tynieckiego, jest, podobnie jak w pierwotnym dziele Strumiłły, wzgląd na właściwości klimatu naszego i zastosowanie się do wymagań jego, tak w wyborze gatunków drzew owocowych i nasion, jak i w sposobie ich pielęgnowania. Są to, zgodnie z tytułem położonym na czele książki, *Ogrody północne*. Osnowa ściśle odpowiada tytułowi, i to jest co dzieło temu nadaje rzetelną użyteczność.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRASSA W AMERYCE

przez

Sygurda Wiśniowskiego.

Długo się już noszę z zamiarem skrócenia charakterystyki dziennikarstwa kraju, w którym przebywam. Zamiar ten nie dlatego powstał, że bym chciał tę prassę, jako wzór dla ojczystej polecić, lecz dla rzućcia kilku promieni na kwestyę wszechludzkość rucywilizowaną bardzo żywo obchodzącą: azali piśmiennictwo, postawione w warunkach amerykańskich, z nieograniczoną swobodą słowa, społeczność zdrowym strumieniem po albo ją zatrzyma? Po owocach poznajemy drzewo, a z sumiennej krytyki owocu ustaw amerykańskich, słowa drukowanego dotyczących, wolno ducha tych ustaw oceniać. Są one albo potępienia albo naśladowania godne, według naganego lub chwalebego charakteru prassy. w ich cieniu kwitnącej. Postanowiwszy sobie dawno ułożyć zarys tego charakteru, a dziś dopiero czas do tego zadania znajdując, zastępuję niem mozaikową korespondencyą, z nowinek złożoną. Sens moralny mego listu, wskazany tylko krótkim zdaniem, domysłny czytelnik w duszy swej doświadczy.

Mojem zdaniem, najpotężniejszym czynnikiem nowoczesnego, gorączkowego życia jest gazetiarstwo — przepraszam za powtórzenie komunału, bo mi jest potrzebnym w założeniu osnowy mego rozumowania. W Stanach Zjednoczonych gazetiarstwo jest rzetelnym prezydentem, a obywateli, nie do władców po natchnieniu i wskazówce się zwracają, ale do niego. To samo wszechwładne dziennikarstwo amerykańskie jest także najznakomitszym produktem cywilizacji tutejszokrajowej i nie znam żadnej gałęzi przemysłu i zawodu, coby chwyciła z równą skwapliwością każdy wynalazek nowy w zbieraniu informacji (parę, telegraf, telefon i t. d.), — każde ulepszenie mechaniczne w jej przenoszeniu na papier (poprawne maszyny typograficzne, nowe sposoby ilustrowania i t. p.). Wolno rzec, iż wydawcy wielkich gazet tutejszych, obawą powodowani, aby ich konkurent jaki w zastosowaniu takich wynalazków i ulepszeń nie uprzedził, nieraz zuchwałych experimentów, z kosztem niezmiernym i stratą połączonych, się dopuszczają. Taż sama prassa stara się wciągnąć w swoją służbę najsilniejsze umysły i, mówię bez przesady, czyni to z powodzeniem. Najlepsze płody myśli i stylu amerykańskiego, nie w literaturze książkowej, ale w miesięcznikach, tygodnikach i gazetach codziennych, się znajdują.

Dziennikarstwo to, produkt przedsiębiorczości rzadkiej i talentów wybranych z 50-milionowej ludności, sięga wszędzie, od najuboższej rodziny wielkiego miasta, która by się raczej bez śniadania, niż bez porannej swej gazetki obeszła, do samotnej chaty pioniera na Dalekim Zachodzie. Najprędzej i najlaskawiej rozechwytywanym towarem, ze wszystkich przysyłek, jakie pośpieszny pociąg do amerykańskiego miasteczka raz na dzień przywozi, są gazety. Mieszkając raz w głuchej mieścinie w Minnesocie. Poczta nie przybywała przed godziną 11 w nocy, a uczynny pocztmistrz, którego długie urzędowanie od dobrej woli współobywateli zależało, musiał o tej późnej godzinie gazetami niecierpliwym tłum obdzielać. Połowa mieszczaństwa nie szła nigdy do łóżka przed północą, a ten zwyczaj bezsenności, za który nas wieśniacy wysmiewali, powstał skutkiem urządzeń pocztowych.

Raz, jadąc konno przez górzystą puszcę Montany, zatrzymaliśmy konie dla wytchnienia w studni, przed chatą kładową, z której wyszła niewiasta, gromadką pyzaty, rumianych malców otoczona. Powiedziała nam, że damy w naszym licznym towarzystwie (jechało nas dużo, pod eskortą wojskową, z obawy Indian) były pierwszymi białymi kobietami, na jakich od lat dwóch jej oczy spoczęły. Zatrzymawszy do schludnego, ubożego dworku tej żony górnik, zobaczyłem wszystkie jego ściany rycinami z pism ilustrowanych oklejone, a na stole leżała paczka dzienników, zostawionych niedawno przez cwałującego pustynią pocztyliona. Znalazłem między niemi gazety tygodniowe z New-Yorku, z Chicago i małej Heleny, stolicy Montany. Ci ludzie mogli tedy żyć bez widoku bliźnich, ale nie mogliby byli bez czytania o nich wytrzymać! Każda prawie chata chłopska między Atlantyckim i Spokojnym oceanem, jest niemniej chciwym konsumentem gazet, i dlatego to około 9,000 rozmaitych pism w Ameryce istnieje, a rozchodzą się one w tylu milionach egzemplarzy, ile dla wszystkich innych narodów całego świata wystarcza, t. j. w Stanach Zjednoczonych wychodzi prawie połowa dzienników, wydawanych na całej kuli ziemskiej.

Te gazetożercze usposobienie ogółu zbudziło niezmierną przedsiębiorczość wydawniczą, która żadnego środka nie opuszcza dla zadowolenia popytu istniejącego. W dziennikarstwie amerykańskim tkwią olbrzymie kapitały. Wydawcy poruszają niebo i ziemię za najzdolniejszymi ludźmi płci obojga, a odkrywcy talent, złotym łańcuchem go do rydwanu prassy zaprzęgają. Niezadowoleni posiadaniem dzielnych redaktorów i regularnych współpracowników, tę zasadę przyjęli, aby świetnej remuneracji nadzieję za każdy fakt interesujący lub myśl przypadkową, oryginalną a ważną, w jaknajwiększej liczbie osób poza gazetarskim zawodem ochotę do pisania budzić. Jestem pewien, że gdyby jakie wielkie miasto amerykańskie całe runęło od trzęsienia ziemi,

a wszyscy jego mieszkańcy pod gruzami, legli oprócz jednego, to ten jeden, na ziemi sfałdowanej i ruchomej, naksztalt morskich bałwanów, wśród grzmotu walących się sklepień i jęku konających, staraliby się obserwować i notować szczegóły kataklizmu, żeby ich udzielić gazetom. Weźcie którą z takich gazet do ręki, a znajdziecie łamy (realistycznych opisów pożarów, morderstw, scen na wybrzeżu morskiem, które z okrętu rozbitego sto trupów sinych zalega. Rzecz stała się wczoraj, w miejscu z nazwy ledwie znanem, gdzie żadne pismo regularnego sprawozdawcy nie trzyma; ale jakiś dylettant literacki, pożądanego łatwego zarobku i szumnej reputacji, opisał całą rzecz jak umiał, i telegrafem do bogatego dziennika swój długi opis przesłał, w nigdy niezawiedzonej nadziei, że redakcja pracę tę ryzykowną wynagrodzi.

— Zkąd pani przyszło do głowy ten wypadek opisać? — zagadnąłem raz damę, głośną w pewnych kołach w Chicago, jako autorkę pierwszego i najlepszego sprawozdania z pamiętnego pożaru tego miasta. Był to obraz cudny sceny nadzwyczajnej, przez kobietę, co nigdy przedtem ani potem nie nie napisała do druku.

— Uciekałam z gorejącej dzielnicy z innymi, — odrzece, — kiedy reportera Zjednoczonej Prassy spotkałam, który mnie znał...

Reporterami Zjednoczonej Prassy nazywają stałych korespondentów w niezliczonych miejscowościach, którzy biura centralne, przez pewną liczbę dzienników utrzymywane, telegraficznymi nowinami zasilają.

— Reporter zatrzymał mnie, — ciągnęła dalej. — Zapytałam: czego żąda?

— Szukam osoby, — odparł, — która widziała początek tego strasznego wypadku. Prawdziwe szczęście spotkać się z panią, tak inteligentną. Chodź zaraz. Musisz mi historię tej nocy napisać. Poszlemy ją dziś jeszcze telegrafem w świat cały. Zapłacę, ile zażadasz... dwa razy więcej, niż zażadasz.

— Zmiluj się — jęczałam ze łzami, — moje serce pęka, straciłam najdroższych w tłumie, jestem prawie naga, obmurzana, szalona.

— Nic nie szkodzi! Włóż te serce pękające w opowiadanie, oblej je łzami twymi, pisz co ci twój szal podyktuje, ale chodź! Tak kazał. Nie umiałam się mu oprzeć. Poszłam, po moście, do opuszczonego domu, gdzie znalazł stół kulawy i pakę, zamiast krzesła. Położył przedemną zwój papieru i ołówek. Zaczęłam pisać... albo ja wiem co?..

Równą przedsiębiorczością odznaczają się pisma ilustrowane, mniej troszczące się od europejskich o artystyczne wykonanie na drzewie swoich rycin, ale prędkie w schwyceniu każdej rzeczy zajmującej. Ich rysownicy, lepsi od drzeworytników, muszą posiadać intuicyjny talent zgadywania, co się podoba narodowi. W tłumach, na okrętach, w borach, w wozach górskich, w stu miejscach niespodziewanych, wyrastają artyści koczujący, chwytając sceny z realnego życia na swoje drzewo, jak reporter je w książeczce stenografuje, a potem powtórzy ich rysunki w stutysiącach odbitek pismo popularne i rozprzestrzeni w zaulkach, po preriach i kanionach, jako wszystkim zrozumiałe dobre i złe wieści.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Korrespondencya zagraniczna.

Wiedeń, w Styczniu 1881 r.

† Krzczunowicz. — Rydzowski, jego testament. — Karnawał. — Nowy Rok. — Slizgawka. — Stowarzyszenie. — Bal dworski. — Wystawa na balu. — Wieczór blażeński. — Wykłady. — Flugtechnik. — Kolonie wakacyjne. — Teatra. — Nestroy. — Bauernfeld — Nagroda Grillparzera. — Statystyka Teatru Opery. — Wystawa Sztuk Pięknych. — Kraszewski.

(Dokończenie).

Odbył się jeden bal dworski w sali rycerskiej Burgu. Scisk był ogromny; że zaś, tak mężczyźni

jak kobiety, chcą rzeczywiście osiągnąć to, po co przyszli, więc muszą w pocie czoła miejsca swoje zdobywać, żeby ustawić się na drodze, którą cesarzowa będzie przechodzić. Trzeba stać dwie godziny na miejscu w gorącu i ścisku, zanim znowu tłum się ruszy. Ofiarą tą okupuje się widok całej rodziny panującej i orszaków w strojach ośniewających, niemniej widok wszystkich najwyższych dygnitarzy tutejszych i ambasadorów, począwszy od nowego nuncjusza Vanutello, którego wysoka, inteligentna i bardzo szlachetna postać ogólną zwracała uwagę. Nieliczne tylko grono dopuszczone jest do t. z. tajnej sali radnej, gdzie cesarzowa, przeszedłszy przez główną salę, odbywa „cercle“. Czem atoli wszyscy goście bez wyjątku się odznaczają, to niustającym ani na chwilę szturmem na bufety, które co kilka minut w zupełności muszą być odnawiane. Polacy pojawiają się zawsze, w narodowym stroju. Bardzo uczęszczane są bale we wspianych salach Towarzystwa Muzycznego, w jego własnym pałacu, a szczególnym wabikiem na jednym z nich była wystawa „porządków tańców“ pani Henryki Nilius, która je zbierała 46 lat — razem 400 sztuk. Wystawa ta miała swoją wartość, okazując postępy od r. 1834 sztuki introligatorskiej i dekoracyjnej. Najpierw idą zwykle książeczki, wachlarze, liry, poduszeczki, motyle, albumy; około r. 1860 pojawia się tiul, jedwab, masa papierowa, latarnie, laski Merkurego, neserki z wszystkimi przyborami, mapy Europy, na których każdy kraj nazwą tańca oznaczony, fotografie, miecz Temidy, na którym napis z jednej strony: „sądź łagodnie i słusznie“, okręt, barometr, marchew, lalka, wagon kolejowy z brązu, turysta na lodowcu, piket hauby, rewolwery, armaty i t. d. Z ostatnich lat są prawdziwe pieścidelka gustu, dowcipu i artystycznej zręczności.

Pomimo ciągłych starć w parlamencie, wznowiono tego roku zaniechaną od czasu krachu zabawę; gdy giełda zadaje kłam krzykaczom centralistyczno-niemieckimi, dobre robi interessa, więc w dobrym jest humorze i udziela go najszerzszym kołom. Wznowiono więc, urządzone przez mężkie towarzystwo śpiewu, *wieczory blażeńskie* (Narren-Abende). Dwa tygodnie przedtem i dwa potem cały Wiedeń, dosłownie cały, codziennie się tą zabawą cieszył, a udała się też wybornie. Nie wiem, czy jest drugie miasto na świecie, gdzieby się coś podobnego powiodło. Młodzi i starzy, dygnitarze i studenci biorą udział, robią próby, ponoszą koszt, męczą się nareszcie pół nocy w najdziwniejszych przebraniach, byle się uśmieć z siebie, z drugich, byle rozpuścić kilka przygodnych dowcipów lokalnych, lub politycznych; ma bowiem ta zabawa pewien zakrój satyryczny, stańczykowski. Nad salą i na biletach świeci godło: „Człowieku, nie złość się“. Opisać tej wioły Babel nie podobna, a dowcipy mają tylko jednodniową wartość; wymienię przeto tylko niektóre grupy najbardziej zajmujące: towarzystwo nowych i starych dziesięcioreńskówek, żelazne kassy, antisemici z głowami świńskiemi, towarzystwo gazowe z latarniami z łożówek, bez których byłoby ciemno, chevaliers de Boudin z sikawką z kielbasy, kommissa spisu ludności, która przypina kartki z komicznymi napisami, posagi, które mają stanąć na parlamencie, towarzystwo dla zubożenia i żebractwa, osobny teatr grecko-wiedeński na wozie, Ateńczycy z nowo-odkrytą Minerwą, wegetaryanie — produkcy obrazów mglistych i mikroskopowych, niektóre bardzo dowcipne. N. p. wnętrze żołądka prostego żołnierza = jenerał; kropła wina = mieszanina buraków, borówek i cały fizykat gminny; atom mózgu diurnisty = poddasze bez mebli i pieca i pięcioro dzieci i t. d. Wśród tego chaosu muzyka koncertowa i wyborne chóry męzkie. Pojedyncze maski, ucha-rakteryzowane za znane osobistości, które są obecne, mają przeto swoich sobowtorów; dużo było żartów z Czechów, których Wiedeńczycy znieść nie mogą — a dzisiaj już myślą „aranżerowie“ o przygotowaniach do blażeńskiego wieczoru na rok następny. Szczęśliwy lud! Swoją drogą rozrywki umysłowe nie ustają, codzien w kilku salach bezpłatne wykłady, niektóre bardzo zajmujące, o których sprawozdanie odkładam już do następnego listu, a wspomnę tylko, że

w towarzystwie inżynierskiem utworzono osobny oddział dla techniki żegluga napowietrznej, a utworzyło się nowe towarzystwo dla zakładania *wakacyjnych kolonij* dla dzieci szkolnych, gdzieby zdrowie odzyskiwać i powietrza kosztować mogły, o czem już „Bluszcz“ czynił wzmiankę.

W sferze sztuki nowina: W r. 1882 będzie tu międzynarodowa wystawa sztuk pięknych. Zaledwo powstał pomysł, zaraz go podjęto i już się urzeczywistnia. Gmach Künstlerhausu będzie o kilka pawilonów na ten cel rozszerzony, potrzeba na to 80,000 złr., których od razu dostarczono. Makart przewodzi, cesarz i cały dwór pomagają, bankierzy okazują się „honette“, a *dziennikarze!* — subskrybują po 5000 złr.

W teatrach nic nowego; w Teatrze Ludowym grano przez dwa tygodnie sztuki Nestroja; zrobiono z tego święto. Sztuka „Lumpecius vagabundus, czyli trójka hultajska“ grano obecnie po raz tysięczny. Komedya Bauernfelda: „Lekkomysłność z miłości“, grano w Burgu poraz setny. Jednakże na polu dramaturgii panuje posucha w całych Niemczech: najlepszy dowód, że nagrody Grillparzera za bezwzględnie dobrą sztukę, tego roku nikomu nie przysądzono.

Ogłoszono statystykę przedstawień opery w r. 1880. Ilość przedstawień 299, cały dochód roczny bez abonamentu 532,653 guldenów, przeciętny dochód z przedstawienia 1,731 guld. Od r. 1869 dano 90 oper, 35 kompozytorów, w r. 1880 oper 60, kompozytorów 26: Mozart, Wagner, Meyerbeer, Donizetti, Gounod, Verdi, Bizet, Bellini, Rossini Brüll, Weber, Auber, Thomas, Nicolai, Beethoven, Cherubini, Masset, Kreutzer, Flotow, Riedl, Halévy, Boieldieu, Maillart, Adam, Goldmark, Schubert. Sliczną jest opera *Carmen* Bizeta, jedyny jego i labędzi śpiew.

W przejeździe do południowej Francji bawił tu 2 dni incognito *Kraszewski*. Wejrzał w niemieckie wydawnictwo swoich powieści — i wiecie co robił? Oto cały jeden dzień rysował panu Miłaszewskiemu dla sceny lwowskiej dekoracje do dramatu Asnyka „Kiejstut“, które tu malarz Stadttheatru według tych rysunków wykona.

WIADOMOŚCI

Literackie, artystyczne i naukowe.

— Do rzędu najlepszych zdobyczy, jakich dokonywa u nas duch ogólnie-społeczny w tej warstwie ludności, którą prawa i obyczaje średniowieczne poza powszechnością narodową pozostawiły, należał zmarły d. 2 Grudnia r. z. w Poznaniu *Albin Kohn*. Życiorys jego wraz z portretem podały *Kłosy* w N-rze 811 z d. 13 Stycznia r. b. Nie posiadając żadnych nowych materiałów, a nie mając miejsca na przedruk, zachęcamy czytelników naszych do odczytania nekrologu, jaki Adam Pług w piśmie przez siebie redagowanym nieboszczykowi poświęcił. Kohn, urodzony z rodziców izraelskich w Bydgoszczy w r. 1820, działalnością i zacnością indywidualną wyrobił się na człowieka we wszystkim współczującego i współdziałającego ze społeczeństwem, wśród którego na świat przyszedł. Od niedostatku życie się jego poczęło, skończyło się w niedostatku. Los przetrzącał go od zawodu do zawodu i burzył mu każde świeżo ulepione gniazdko indywidualnego bytu. Kohn był najpierw nauczycielem elementarnym, potem rolnikiem-teoretykiem, dziennikarzem i publicystą, na koniec archeologiem; na tem ostatniemu polu śmierć zaskoczyła go w samych początkach poważnej, naukowo prowadzonej pracy. Jako archeolog, Kohn uprzyściplnił Europie poznanie znakomitego dzieła Sadowskiego: *Drugi handlowy*, przetłumaczywszy je na język niemiecki; w tym języku również wydał, oryginalnie już opracowane, dwa tomy *Materialien zur Vorgeschichte des Menschen im oestlichen Europa*; trzeciego tomu nie dokończył. Zmarły, niepoprzestając na pisanie, sam czynnie zajmował się odkryciami archeologicznymi w Poznańskim, gdzie mieszkał od powrotu (w r.

1870) z Syberyi, którą dobrze poznał i później wraz z Amurą opisał w r. 1876 w dziele p. t.: *Sibirien und das Amurgebiet*. Oprócz rozpraw i podręczników rolniczych, oprócz artykułów dziennikarskich przed r. 1863 ogłoszonych, literatura polska nie ma Kohnowi nic do zawdzięczenia; ale to, co od r. 1872 po niemiecku pisał, było stale ożywione myślą polską. Nieraz wobec Niemców bronił Kohn życia naszego, nauki naszej, duchowego naszego rozwoju i od lat kilku stale zaznajamiał świat naukowy niemiecki z biegiem naszej działalności literackiej i naukowej. Przywiązany do ziemi, która go wydała, *homo novus*, był Kohn jedną z tych osobistości, które miło jest wspominać.

— D. 24 z. m. zmarł w Warszawie głośny ze swoich opowiadań podróżniczych, powieści i przygód burzliwego życia, D-r Medycyny, Teodor Tripplin. Urodzony w r. 1813 w Kaliszu, z ojca Niemca, Tripplin obrał sobie zawód lekarski, w którym jednakże ani praktycznie, ani teoretycznie niczem się nie odznaczył; jego pisma: *Hygieina i Kalo-technika* żadnej, zdaniem znawców, nie mają wartości. Szczęśliwszym był w zawodzie literackim, w którym wkrótce po r. 1840 występować zaczął. Obdarzony żywym temperamentem, z którym łączyło się wszakże bardzo niekorzystne usposobienie charakteru, posiadając niewątpliwy dar słowa, Tripplin opisał swe *Podróże po Skandynawii, Anglii i półwyspie Iberyjskim, nawet po cesarstwie Marokańskim*, a przez opowiadanie to zyskał tak wielki rozgłos, że pamiętamy z lat pierwszej młodości swej, iż wstydem było przyznać się do nieczytania Tripplina; w Warszawie zwłaszcza panowała istna tripplinowska gorączka. Gdyby był nieboszyk poprzestał na tym jednym liście laurowym, zostawiłby w literaturze, nie świetną wprawdzie, ale dobrą po sobie pamięć: on jednak zapragnął dalszych jeszcze laurów i tego, co za nim przy rozgłosie i poczytności powszechnej idzie. Zaczął jedne i te same podróże przera-biać, dopełniać, rozszerzać, przyozdabiać, aż wreszcie z dwóch tomów zrobił dwanaście, a z jednego wydania pięć, w krótkim czasie przez łaskawą publiczność pożytych. Brnął coraz dalej, jał rzeczywistość zastępować zmysleniem najzupełniejszym; tłumaczył żywcem i przerabiał podróże francuskie, angielskie i niemieckie, podając je za swoje własne, a tłumacząc pośpiesznie, od-słonił nierozważnie achillesową sławę swej piętę. Słynne jego „principes“ w podróżach pani Audouard nadługo pamiętnymi pozostaną. Wyświecony przez krytykę, Tripplin nie tylko zamilkł zupełnie, ale i kraj opuścił. Od r. 1860 przebywał przez lat dziesięć we Włoszech; poczem znowu go coś pociągnęło na Wschód. *Wspomnienia z podróży po Turcji Azyatyckiej i Europejskiej, po Austrii i Węgrzech* ogłosił w Warszawie w 1878 ¹⁾. Połowę tych opowiadań znamy: nie są one owiele gorsze od najpierwszych; ale nie miały już szczęścia.

Tripplin, bawiący i rozmieszcający podróżami swemi, był podróżnikiem niższego rzędu: w opisach jego spotykamy sceny rodzajowe na charakterystycznym tle danego kraju; ale znajdujemy bardzo mało poważnych wiadomości o naturze i społeczeństwie, o stosunkach państwowych i ekonomicznych, o działalności literackiej i naukowej — krajów, które zwiedzał. Z nawały słów żywych a lekkich, rzadkokiedy wychyli się poważne spostrzeżenia myśliciela; wszędzie i zawsze przemawia do nas człowiek rozbawiony, dowcipny — powieściopisarz i felietonista raczej niż podróżnik.

— W Bibliotece Jagiellońskiej, w zbiorze rękopiśmiennym, Nr 2123, znajduje się sprawozdanie,

łacińskie z czynności komisji wyznaczonej przez sejm nadzwyczajny z r. 1613/14 do uspokojenia „Smoleńszczan“, to jest pułków Jakuba Potockiego w Smoleńsku czynnych, które, idąc za przykładem trzech innych korpusów, wypowiedziały posłuszeństwo, zawiązały konfederację, czyli akt buntu wojskowego, i widząc jeszcze Wielkopolskę i Pruszy Zachodnie wolnymi od najazdu i grabieży, pociągnęły do Bydgoszczy, aby tu ojczyźnie pokazać, co może zły syn, gdy się na zgubę matki swej sprzyśnię. Bolesne te „konfederacje“, które ciągnęły się przez cały wiek XVII-ty, znamy ogólnikowo z historii politycznej; ale o konfederacji bydgoskiej historyk nawet bardzo mało wiedział: historycy też wdzięczni będą p. Władysławowi Wisłockiemu, naukowo pracującemu bibliografowi w Bibliotece Jagiellońskiej, za ogłoszenie wspomnianego rękopisu w tomie II *Archivum Kommissji Historycznej* (str. 257—344) wydanego przez Akademię Umiejętności, z kąd ciekawe to świadectwo dziejowe w osobnym ukazało się odbiciu pod tyt.: *Dyaryusz Komissji Bydgoskiej* w r. 1614 etc.

We wstępie objaśnia autor, że rękopismo było niegdyś własnością Jakuba Zadzikę, a napisał je prawdopodobnie x. Mikołaj Rakowski, Jezuita, z orszaku Wawrzyńca Gębickiego, biskupa władysławskiego, późniejszego krakowskiego, którego sejm zamianował był przewodniczącym w Komissji do Smoleńszczan. *Dyaryusz* opowiada w chronologicznym porządku całkowity przebieg czynności komissarskich od d. 20 Lutego do d. 7 Maja 1614 r., w którym-to dniu akt „konfederacji“ spalono. Autor *Dyaryusza* przygotowywał i zbiór dokumentów odnoszących się do sprawy; ale tego w Bibliotece Jagiellońskiej nie ma. Pan Wisłocki dodał do *Dyaryusza* dwa inne dokumenta, znalezione w rękopiśmie Nr 5; jednym z nich jest *Akt assekuracji* danej przez Zygmunta II, w zamian za odstąpienie od buntu, drugim *Zawarcie zapłaty Smoleńszczan* — oba w języku polskim. *Zawarcie* treścią swoją potwierdza opowiadanie *Dyaryusza*, a formą językową wzbudza żywe zajęcie: są w nim nie tylko archaizmy, ale i prowincjonalizmy bardzo ciekawe.

Wydanie odznacza się starannością, obowiązującą wszelkie wydawnictwa naukowe, a zalecającą wszystko to, czem młody jeszcze, a tak już zasłużony, pracownik naszą literaturę w najobszerniejszym znaczeniu historyczną wzbogaca: rękopismo poprawione, niektóre fakta przedstawione w odniesieniu do źródeł nazewnątr przedmiotu stojących, jak Lengnich: *Geschichte der Lande Preussen*, *Pisma Żółkiewskiego*, *Starożytności A. Grabowskiego*, wreszcie *Volumina Legum*. Uczony autor lubi przytaczać Homera; kopista zepsuł brzmienie oryginału: pan Wisłocki nie tylko wprowadził poprawki, ale i wskazał topografią każdego przystopu. Jednym słowem: wydanie godne wydawnictwa, w którym się ukazało. Gdyby wszyscy zachowywali przy ogłaszaniu nawet drugorzędnej wartości materiałów taką dokładność i troskliwość o prawdę, jaką w wydaniu *Dyaryusza* widzimy, Akademia byłaby wolną od przykrości w rodzaju doznanych już przy słynnym wydawnictwie *Listów księcia Jerzego Zbarazkiego*.

— Firma Józefa Ungra rozpoczęła już zapowiedziane wydawnictwo dzieł *Lucjana Siemieńskiego*. Mamy przed sobą T. I, obejmujący „*Varia* z literatury, historii, archeologii i przyrody“ str. VIII i 302, in 8-o, z portretem autora, bardzo dobrze przez Regulskiego wykonanym. „Słowo wstępne“ ze zwięzłą charakterystyką talentu zmarłego pisarza poprzedza zbiór dwunastu, jakby powieści można, kwiatów, których wonią kobiety zwłaszcza napawać się będą. Siemieński miał dar pisania dla wszystkich; sam poeta i nowellista, w prozę swoją, niezawsze pod względem budowy gramatycznej poprawną, wlewał jakąś swo-

bodę, jakiś powab graniczący z poezją, dzięki któremu był jednym z najpoczytniejszych pisarzy naszych. Wszystko co się tu w „*Variach*“ mieści, zasługuje na odczytanie, a odczytywane nie znuży. *Róża, Słownik, Laur i laureaci, Ogrody w historii i poezji, Księżyc w archeologii, poezji i sztuce, Dzwon Zygmunowski i dzwony*, — samemi tytułami swemi z progów zapraszają do wnętrza. *Album amicorum* jest wiazką miłych wspomnień historycznych, głównie około albumu Adama Kazanowskiego w XVII w. krążących; a w tej wiazce znalazł się i smutny czterowieś do albumu ks. Leonowej Sapieżyny przez Alexandra Fredrę ojca wpisany. Mieści się on i w nowym 12-tomowym wydaniu dzieł poety, uskuteczniomem przez firmę Gebethnera i Wolffa, ale go tu korekta zepsuła (T. XII, str. 143).

Z pogawędki: *Kobiernictwo i Polop Zygmunta Augusta* widzimy, że odkrycie jakoby świeżo w tych czasach dokonane: gdzie się znajdują słynne arras ostatniego z Jagiellonów? było już znanem Siemieńskiemu, który szczegółowo wskazuje salę w zamku Gączyńskim, przyozdobioną *Potopem*; jest to sala oznaczona literą F.

Urywek: *Wigilia Bożego Narodzenia i Kantyczki* jest bezpretensjonalnym przyczynkiem do historii literatury ludowej i dawnego obyczaju.

Wydanie dzieł głośnego pisarza, co do pierwszego tomu wykonane starannie, dobrym czystym drukiem, na grubym papierze, zasługuje na rozpowszechnienie.

— W Kairze zmarł d. 19 Stycznia r. b. głośny na cały świat badacz i odkrywca starożytności egipskich *Mariette*, „*Maryette-bey*“ zwany. Z pochodzenia Francuz, urodził się August Edward Mariette w r. 1821 w Boulogne-sur-mer. Od dawnszy się czytaniu hieroglyphów i pisma hieratycznego, nabył wielkiej wprawy i dostał się w r. 1848 do Muzeum Egipskiego w Luwrze. W r. 1850, wysłany do Egiptu dla zbierania starodawnych rękopism koptyjskich, poświęcił się odkopywaniu ruin i pracę swą w tym kierunku uświetnił wkrótce odkryciem Serapeum i Sfinxa w Memfis. Wice-król Egiptu zamianował go generalnym konserwatorem starożytności kraju i nadał mu tytuł beya. Od r. 1862 Mariette stale w Egipcie mieszkał. Piśmiennicze prace jego są opisowe i krytyczne; pierwszym towarzyszem wspa-niałe wyobrażenia pomników odkrytych. Jego pióra jest opowiadanie, z którego ułożono później libretto do *Aidy*. M. był członkiem Instytutu Francuskiego.

Sprostowanie.

W Nr 6 *Bluszczu* w artykule wstępnym, na kolumnie 42-iej, w łamie 1-ym, w wierszu 32-im od dołu, zamiast „mi“ czytać należy: „autorowi“; w wierszu 37-ym od góry, dopełnić należy datę 1852 r. słowami: „w *Oreodowniku* w r. 1843, osobno.... (1852 r.)“. Do szczegółu o zaofiarowaniu *Gramatyki* Janowi Działyńskiemu, dodaje się objaśnienie, że było ono tylko pośrednim, bezpośrednio bowiem X. M. dzieło swe poświęcił „*Pamięci* Tytusa hr. Działyńskiego“, ojca Jana.

Do dzisiejszego numeru „*Bluszcza*“ dołącza się arkusz 7-my powieści pod tyt.: *Wódz-Duch*.

(1) P. t.: „*Wspomnienia z ostatnich podróży*“.

TREŚĆ. Xiądz Franciszek Xawery Malinowski, zyciorys, (dokończenie), przez S. K. — Sama jedna, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraśzewskiego. — Marya Anna Cross (Jerzy Elliot), (dokończenie), przez M. I. — Korrespondencya zagraniczna, (Lwów). — Prassa w Ameryce, przez Sygurda Wiśniowskiego. — Korrespondencya zagraniczna, Wiedeń, (dokończenie). — Wiadomości literackie, artystyczne i naukowe.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 3 Февраля 1881 года.

WÓDZ-DUCH

POWIEŚĆ

KAROLA DESLYSA

przekład z francuskiego J. M.

(Dalszy ciąg).

W klubie i w dziennikach straszliwa nazwa *Dzkiego Ira* była często wspominana, przez jednych z tajemniczą sympatją, przez drugich z oburzeniem i gniewem. Nieustannie spodziewano się, że gorząd pochwyty, lecz zawsze wymykał się zrzecznie, prowadząc zacięty bój z żołnierzami. Niekiedy nawet zadawał im ciężkie klęski. Czarne ulany, powróciły raz w opłakanym stanie z Bog Allen, rozległych torfowisk, dokąd zapędził się jeden z ich oddziałów, aby go dostać. Zamiast zaskoczyć niespodziewanie, sami zostali zaskoczeni i po utarczce, po rozsypce, czwarta część ludzi nie stawiała się do apelu. Reszta przywlekła się na zabłoconych okulawionych koniach klnąc na czem świat stoi. Dublin przyjął ich śmiechem i wesołemi drwinami, ulicznicy gwizdali ujrawszy czarne mundury. Obwoływano po ulicach bohaterką wyprawę niezwykłych, i baron Homspach był wściekły. — Powetujemy to — mówił. — Rozbójnik zawsze jest trudny do złowienia...

Ze swojej strony policja nie próżnowała również. Oznaczono cenę na głowę *Dzkiego Ira*. Tysiące plakatów obwiesiło to, przyrzekając wspaniałą nagrodę temu, kto go wyda.

Pewnego wieczoru wróciwszy z teatru, wicehrabia zauważył, że Pat znajdował się w niezwykłym usposobieniu.

— Och — rzekł z żywością — jest tu ktoś... ktoś, czekający na pana.

— Kto taki?

— Mnie z zakonu Ś-o Patryka, któremu, jak się zdaje, przyrzekłeś pan jałmużnę.

— Ja! Kiedy? Gdzie?

— W Kildare, jak mi powiedział. Ale ja myślałem, że to chyba w Gourgan - Barra.

Mówiąc to, Pat zniżył głos, mrugał oczami i uśmiechał się tajemniczo.

— Co to znaczy? Co to za miny? — zapytał Tankred niemal gniewnie. Pat nie mógł zapomnieć swoich krotocwilnych dowcipów, i Tankred nieraz go burezał o to.

— O! — szepnął Pat nie zbity z terminu — mnie jest zakapturzony pod same oczy. Pomimo tego poznasz go pan od razu. Jestem pewny, że oczy mnie nie zwiodły.

— Ale o kim mówisz?

— O kim?... Ach! p: wicehrabio, czyś pan czytał obwieszczenia porozlepiane po rogach ulic i czy pan znasz pewne przysłowie...

— Jakie przysłowie?

— Nasze, irlandzkie przysłowie — odpowiedział Pat teraz smutnie, — powiem je panu: — Wsadź jednego Irlandczyka na różę, a natychmiast znajdziesz drugiego, który go będzie obracał, aby się upiekł przedź.

— Ale cóż to ma za związek?

— Z mnichem od Ś-go Patryka... Oto przysłowie kłamie tym razem, ogłoszenia nieprzynoszą i nieprzyniosą żadnego skutku. Dziesięć tysięcy funtów szterlingów za głowę *Dzkiego Ira*!

Dziesięć tysięcy!... pomyśl pan... Ale w całej Irlandyi, gdzie tyle ludzi umiera z głodu, nikt go nie zdradzi, ani ja, ani żaden inny.

— A więc to jest...

— To jest on... Lecz bądź pan spokojny, ja będę czuwał!

XIX.

Niespodziewane odwiedziny.

Tankred szybko wszedł do saloniku, i zamknął za sobą drzwi.

Mnich siedzący przed kominkiem, rozgarniał porzebaczem węgle, a kaptur, jako już niepotrzebny, odrzucił z głowy.

A była to szlachetna i energiczna głowa, był to *Dziki Ir*, był Jakób...

— Przez Boga! — zawołał wicehrabia. — Co za nieroztropność!

Eh! — odrzekł Jakób. — Czyż nie jestem duchem? Nie pochwyć mnie, chyba że sam będę chciał tego.

— A takich rzeczy nikt nie chce dobrowolnie — odparł Tankred wesoło.

— Kto wiel! Wszepnął Jakób z pewnym rodzajem melancholii.

Podano sobie ręce i uściśnięto je z serdecznością.

Poczem gość zapytał:

— Czy chcesz, wicehrabio, poświęcić mi chwilę rozmowy?

— Tu — odparł Gaillefontaine, uprzejmem skinięciem ręki zapraszając go, aby usiadł — tu, tak samo jak wszędzie, jestem cały na rozkazy twoje.

— Tak też myślałem o panu — rzekł Jakób, ale potem zacząłem się obawiać, czy atmosfera angielskich salonów nie ochłodziła pana dla mnie.

— A to dla czego?

— Ponieważ *Dziki Ir* jest uważanym w tych kołach za potwora. Tak myślą nawet nasi „umiarkowani“, jak się zowią; „rozsądni“ ludzie szerszej polityki — polityki lorda Cornwallis.

— Rzeczywiście — szepnął Gaillefontaine — uważają pana za najgłówniejszą przeszkodę do przeprowadzenia systemu pojednania.

Jakób uniósł się na sam ten wyraz. — O! zawołał z goryczą — znasz już pan historię tego nieszczęsnego kraju, jesteś codziennym świadkiem obecnych okrucieństw i w tem obłudnem życzeniu pojednania nie widzisz krwawego szyderstwa Anglików?

Tankred chciał się bronić, ale Jakób nie dał mu skończyć.

— Kłamstwo jest tak ohydne — mówił z żywością — że aż oburza. — Pojednać się, to znaczy: wyrzec się swego Boga, swojej mowy, i obyczajów Irlandzkich, zapomnieć przeszłości, zmasać wszystkie jej ślady, uczynić po za sobą *tabula rasa*, a potem zbudować tu kolonię Anglii i oddać nasz lud „głupich paddych“ na parobków, knechtów Sasenacha, bo to plemię niższe, niezdolne do cywilizacji — angielskiej. O! człowiek traci dech ze wściekłości. A teraz właśnie zaczyna się rozwijać cywilizacyjna misja Anglii. Wynaleźli nowego rodzaju lekcji, którymi chcą umoralnić nieszczęsnego naszego wieśniaka — O bratku! nie chcesz donieść, wydać, gdzie chronią się zbójcy! Udajesz, że już nie masz żadnej broni, nawet noża! — wołają i aby zmuszać do zdrady bratniej, wieszają za nogi, duszą na wpół, chłostają aż do zdarcia skóry. Następnie rany krwią broczące, posypują solą i pieprzem! A co panie wicehrabio, czyż nie środki pojednawcze i edukacyjne?

Wicehrabia milczał, wiedząc dobrze, że obraz ten był najściślejszą prawdą.

Jakób zaczął się teraz śmiać gorzko. Ale, ale panie kochany — mówił — cywilizatory mają jeszcze czapeczki ze smoły, którymi zdzierają włosy i skórę z głowy. Czyż to nie jest zmieniony tylko nieco sposób skalpowania, okrutniejszy niż u Czerwonoskórych, bo ci pierwsi zabijają, a tu cywilizacyjna Anglia czyni to żywcem. Rozpoznałem się w Ameryce mniemanie, między Francuzami właśnie, p: wicehrabio, że dyabeł ludów wymordowywanych przez Anglię, dyabeł indyjskich Mohikanów wlaź teraz w Anglików i broi. Jest w tem prawda; tak, jest w tem prawda. Dzicz nieszczęśliwa, której są zbójcami, udzieliła im część swojej dzikości...

— Jakkolwiek krymki smołowe są podobno wynalazku barona Homspach i czarne ulany wymuszają przez nie wiadomość nie o zbiegach, ale o pieniądzach naszych, wszystko to jedno. Są to zaciężne sługi Anglii, jest to zatem Anglia...

Nagle zapukano do drzwi.

— Cicho! — odezwał się Tankred.

Odemknął drzwi. Ukazała się przestraszona twarz Pata.

— Cóż się stało? — zapytał go Tankred.

— Patrol dragonów jedzie nadbrzeżnym bulwarem — szepnął Paddy.

Dotąd nie powiedzieliśmy, że kamieniczka zajmowana przez wicehrabiego leżała nad brzegiem rzeki Liffey, Tamizy Dublinu. Rozmawiający siedzieli w pokoju na dole, wychodzącym na ulicę. Sutereny znajdujące się poniżej, były tak wysokie, że czyniły z parteru niemal antresole. Przez szerokie szyby, za którymi znajdował się balkon, ukazywały się w pośród mglistej nocy chwiejące się maszty okrętów.

Zbliżanie się patrolu wcale nie zmieszało Jakóba.

— To nie, niech przejadł — szepnął spokojnie.

— Lecz — odezwał się Tankred — jeżeli zatrzymają się tu?

— Ażeby mnie uwięzić? — dokończył Jakób, uśmiechając się. — Nie zdaje mi się, aby mieli ten zamiar. Zresztą wkrótce się przekonamy. Oto już ich mamy...

Na kamieniach bruku rozległo się stąpanie koni.

Przy blasku latarni, umieszczonej prawie na przeciwko domu, ukazały się błyszczące kaszkiełty żołnierzy.

Ale nie zatrzymując się by najmniejszą chwilę pojechali dalej ulicą.

— Widzisz pan! — rzekł Jakób. — Następnie zwracając się do Pata, na którego uspokojonej twarzy, zabłysnął uśmiech radości, dodał z pełną dobroci życzliwością: — Pomimo tego, dziękuję ci, mój chłopcze, za twoją czujność. Przytem zapewniam cię, że nie sam jeden czuwałeś nad moim bezpieczeństwem, i że ten, którego nazywacie wielkim mścicielem, potrafi wymknąć się z każdej zasadzki, udaremnić wszelkie, choć by najzawziętsze pogonie.

— O tak! — szepnął Pat — wiadomem to jest od wieków.

W tej chwili zegar zaczął bić.

— Która to godzina? — zawołał Jakób. — Już północ! Tam do licha! Długo zabawiłem się u ciebie panie wicehrabio, za długo. Pozwolisz mi, abym uspokoił pewną osobę?

— I owszem, proszę — upoważnił Tankred.

Jakób wziął ze stołu lampę i zbliżywszy się do okna uczynił światłem znak krzyża.

— Krzyż płomienny! — szepnął Pat swemu panu, wyjaśniająco.

Jakób postawił lampę na dawnym miejscu.

— Panie wicehrabio — rzekł — uprzedzam cię, że za chwilę ujrzysz pewną, znajomą ci twarz.

— Kogóż takiego?
— Spójrz tam! — Wskazał ręką w kierunku rzeki.

Nadaremnie Tankred wyteżał wzrok. Ulica, brzegi wody, wszędzie ani znaku życia, cisza, spokój zupełny.

Nagle przecież, na balkonie podniosła się postać ludzka; przez szyby ukazała się ogolona głowa.

— Unkas! — szepnął Gaillefontaine, poznając go.

— Och! mruknął Pat z osłupieniem.

Wyrażając się jedynie gestami, Jakób wskazał Unkasowi ręką w dół i w górę rzeki Liffey, zapewniając, czy nie było co niepokojącego w tej, lub w owej stronie.

— Nie! — potwierdziła wyrazista twarz Indyana.

— Chwilę jeszcze! — dodał Jakób zawsze na migi. — Odejdź!

Posłuszny Unkas zniknął równie cicho, jak się zjawił. Zdawało by się, że widmo rozplynęło się w powietrzu.

— Pozostaw nas samych! — rzekł Tankred do Paty, który nie kazał się o to prosić, może w nadziei, że ujrzy jeszcze na dole dziwną istotę, która wywarła na nim tak silne wrażenie, że oniemiał.

Gość i gospodarz powrócili teraz na dawne miejsce przed kominem, a Tankred rzekł: — System pojednania, czy jest kłamliwy, jak pan mi dowodzi, czy szczerzy, jak chce Anglia, ma to w tej chwili za sobą, że zawieszenie kroków nieprzyjaciół pomogło by do uratowania więźniów: do uratowania lorda Edwarda.

— Lorda Edwarda? — szepnął Jakób z nietajonem wzruszeniem. — Och! pan wiesz, jak bardzo go kocham. Może też wkrótce dam dowód tego...

— Jaki dowód?

— Dowiesz się pan wkrótce, a jeżeli mi się uda, jak mam nadzieję, to tym razem przynajmniej nie uczynię mi zarzutu, że go skompromitowałem. Tymczasem, pomimo wszystkich prowokacji, Irlandya nie poruszy się. Będzie cierpliwa, będzie wśród zniechania się nad nią opryszków niema i nie poruszona jak trup...

Spójrz! przed siebie w dal, spojrzenie to nieco w górę wzniesione było pełne cichego, smętnego bohaterstwa, ale Tankred, który nie był Irlandczykiem, nie miał w piersi serca syna dla tej nieszczęsnej krainy, głównie interessował się w tej chwili losem Fitz-Geralda.

— Więc dajesz mi pan i sam masz nieplonną nadzieję uratowania Edwarda? zapytał żywo.

— Tak; właśnie jednym z głównych powodów mych odwiedzin, jest danie panu zapewnienia w tym względzie — że go ocalimy...

Tankred pochwycił rękę Jakóba, i ścisnął ją. Żywiość francuzka już mu malowała obraz radośny Fitz-Geralda w objęciach żony i dzieci.

— Panie wicehrabio! — przerwał mu Jakób. — Zastrzegam sobie tylko dwa wypadki.

— Jakiego?

— Najpierw wylądowanie armii sprzymierzonej...

— Co? już... General Humbert już dał znak?..

— Nie, nie on jeszcze. Znajduje się on w Rochefort, lub w Brest, lecz pomoc, którą mi oznajmiono, ma przybyć od północy.

— Od północy?

— Czyż zapomniałeś pan, że w ostatnich niemal chwilach życia, Hoche udał się do Holandyi, aby skłonić rzecz pospolitą Batawską do uzbrojenia na naszą korzyść. Piętnasto tysiączna armia już jest gotowa. Flota wioząca ją wypłynęła: znajduje się już na morzu...

— Och, czy to rzecz pewna?... Czy rzecz pewna?

— Niezawodna! Niech tylko te zbawcze okręty zdolają uniknąć floty angielskiej, krążącej po morzu, a Fitz-Gerald zostanie ocalony i to jednocześnie z Irlandyą. Więc ja już nie będę mu potrzebny.

Mimo dumnej powściągliwości, przez którą

Jakób silił się na spokojną powagę, twarz mu gorzała. Radość, zapal, szczęście niewysłowne błyszczało mu w źrenicach.

— I ja również gorąco pragnę, aby spełniły się te nadzieje i pierwsze zastrzeżenie w zupełności uznaję — odparł Tankred — teraz z kolei przejdźmy do drugiego.

Na czole Jakóba ukazała się ciemna chmura.

— Drugie — szepnął — otoż właściwie przyszedłem nadewszystko dla tego drugiego...

— Mów pan! proszę, mów...

— Fitz-Gerald może umrzeć w więzieniu.

— Umrzeć! — zawołał wicehrabia z żywością. — Zkądże pan przypuszczasz to? Wszak rana jego jest bliską zagojenia!

— Mylisz się pan! — oświadczył Dzioki Ir głosem stanowczym. — Niepokój, z powodu uwięzienia, znacznie pogorszył stan rany, która nawet może się stać śmiertelną. Wiem to na pewno, możesz mi pan wierzyć.

— Lecz nikogo nie dopuszczają do więzienia, od kogoż więc dowiedziałeś się pan?

— Od siebie samego. Przebrany za strażnika wszedłem do więzienia i własnymi oczyma widziałem go.

Tankred jakkolwiek śmiały i odważny, jak mało ludzi, zdumiał się nad tak szalonym zuchwalstwem.

— Jednakże — szepnął zeicha. — Sir Reginald zapewnił...

Jakób nie pozwolił mu dokończyć.

— Sir Reginald! Jemu chodzi przedewszystkiem o kobiety, a nie mogąc nie uczynić dla więźnia, zwodzi je. Może to kłamstwo miłosierne, więc szlachetne, ale to zawsze kłamstwo tylko.

— Człowiek ten jest jednak uczciwy...

— Nie przeczę, więc też rozmów się pan z nim sam na sam i zażądaj stanowczo prawdy, a zobaczysz co wtedy odpowie?

— Uczynię to zaraz jutro. Oh! co za okropną obawę wszczył mi pan w serce! Fitz-Gerald miał by umrzeć! Nie, to być nie może! Nie... jabym coś musiał zrobić, tak się na coś porwać, aby rzecz tak straszna nie mogła się stać...

Teraz z kolei Gaillefontaine miał wiarę i to taką, która przenosi góry.

— Dobrze! — zakończył Jakób. — Otóż właśnie głos, którego oczekiwałem, że się wyrwie z pańskiego serca. Do dzieła więc, panie wicehrabio i powtórzmy jeszcze raz, że niema nic niepodobnego dla poświęcenia i przyjaźni! Jednemu z nas dwóch powinno się udać. Do widzenia!

Powiedziałwszy to, Jakób, ścisnął serdecznie rękę gospodarza i oddalił się z pośpiechem.

Tankred odprowadził go aż do progu domu, Pat, aż do brzegu rzeki. Gdy powrócił do swego pana, odezwał się z zadowoleniem:

— Panie, panie widziałem jeszcze raz tego... tego... No, tego z kosmykiem na głowie.

Wicehrabia nie był wcale usposobiony do śmiechu. W nocy nie mógł zasnąć, a gdy wreszcie zamknął oczy nad ranem, ustawicznie dręczyło go widmo umierającego Fitz-Geralda.

Skoro tylko godzina pozwoliła, udał się do sir Reginalda Cornwallisa.

Młody pólkownik pojechał ze swymi dragonami do Kildare. Spodziewano się powrotu jego dopiero jutro.

To niepowodzenie, ta zwłoka jeszcze powiększyły niepokój Tankreda. Dzień wydawał mu się niesłychanie długim. Nawet u księżnej zauważono jego niezwykle roztargnienie. A Lucya, która jak każda młodość, miała chwile wesołości, śmiała się — och biedna, gdyby była wiedziała!

Wicezorem powrócił do domu. W pałacu wicekróla prosił, aby go natychmiast zawiadomiono, skoro tylko sir Reginald powróci.

Nadeszła noc. Gaillefontaine niespokojny, wzburzony, niecierpliwszy co chwila, zbliżył się do okna.

Widok z niego był nietylko na bulwar nadbrzeżny, lecz jeszcze, w skutek zakrętu rzeki, na wielki plac dubliński, Tankred zauważył na nim ruch niezwykły.

Sztafety przebiegały w galopie. Wywieszano chorągwie, iluminowano pałac wicekróla i inne gmachy rządowe, odezwał się wystrzał armatni. Roty żołnierzy przeciągały po mieście, wydając wesołe okrzyki.

Lecz radość ta wcale nie była ogólną, o! przeciwnie! W sklepach, w domach prywatnych, pogasły światła, zapanowało ponure milczenie. Uroczystość, odprawiana przez jednych, wywołała żalobę u innych.

Pat został wysłany po wiadomości.

— Na S-o Patryka! — zawołał, powracając ze smutkiem. — To obchód angielskiego zwycięstwa!

— Czy na stałym lądzie?

— Nie! Na morzu. Admirał Duncan zniszczył eskadrę holenderską, która nam przybywała na pomoc.

— Kto ci powiedział?

— Wożnym każą to krzyczyć na placach... Wszystkie okręta zatopione, lub wzięte do niewoli! Nie pozostało nic! Och, panie Boże! Co S. Patryk robi tam w górze?

XX.

Królewski dąb.

Sama Irlandya, cały jej lud nieszczęsny mówił to przez usta biednego paddy.

Przedstawiał on ją na swój sposób, jak Dzioki Ir był jej przedstawicielem innym. Paddy to była strona jej naiwna i jowialna, Jakób poważna i bohaterska.

Tankred domyslał się, ile serc musiało w tej chwili cierpieć boleścią niewymownego udręczenia, bo te okręta zabrane, lub zatopione — była to owa flota Rzeczypospolitej Batawskiej: wybawienie Irlandyi, przysłane jej przez cień generała Hoche!

Był to już drugi zawód, nowa niepowetowana klęska! Ale zatem z tej strony nie można już było spodziewać się pomocy dla Edwarda!

Należało przekonać się tem prędzej i pewniej, czy życiu biednego więźnia groziło w istocie niebezpieczeństwo? Pod tym względem tylko jeden sir Reginald mógł dać wyjaśnienie, a nieobecność pólkownika przedłużała się.

Półk jego miał powrócić z Kildare wzdłuż przez wybrzeże morskie. Był to pewien rodzaj wyprawy z celem rozpoznania stanu południowej strony stolicy.

Trwała prawie cały tydzień — tydzień oczekiwaniam!

Lord Cornwallis codziennie przysyłał do pałacu wiadomości o więźniu. — Nic nowego — powtarzano ciągle — zawsze to samo położenie. — Lecz cóż jeżeli położenie to znaczyło przybliżanie się nieubłaganej śmierci?

Wreszcie pewnego wieczoru Tankred odebrał zawiadomienie, że sir Reginald wrócił i przybędzie do niego nazajutrz o wschodzie słońca, aby zabrać go z sobą na przejażdżkę konną.

O świcie dwaj młodzieńcy wyjechali z miasta.

Żadna stolica świata nie ma piękniejszej, okolicy, wdzięczniejszego otoczenia nad Dublin, a szczególniej też na wiosnę. Obecnie kończył się właśnie Kwiecień. Poprzedzających dni padał deszcz, tego poranku świeciło jasne i wesołe słońce. Lasy, łąki, pastwiska przyodziały się świeżą zielonością, a wszystko i wszędzie rozwijało się w kwiat. Można było powiedzieć, że to raj: same barwy, blaski, wonie i śpiewy ptaszek. Tak musiała wyglądać ziemia w chwili, gdy wychodziła z rąk Boga.

— Teraz jesteśmy sami, cóż masz mi do powiedzenia wicehrabio? — zapytał Reginald.

— Chciałem pomówić z tobą, półkowniku, o Fitz - Geraldzie — odpowiedział Gaillefontaine. — Ta piękność przyrody czyni nam jeszcze boleśniej wspomnienie o nieszczęśliwych, którzy są pozbawieni wolności.

— I ja również myślałem o tem — wyznał Reginald, zwalniając bieg konia. Jakkolwiek są to ludzie winni i szaleni, przecież w tak piękny poranek uczucie politywania nad ich losem budzi się mimowoli. Ale cóż takiego mógłbym powiedzieć o naszym biednym przyjacielu, o czem byś pan jeszcze nie wiedział?... —

— Prawdę — rzekł wicehrabia. — Zdawało mi się, że od jakiegoś czasu ukrywasz pan przed nami rzeczywisty stan zdrowia Edwarda...

— Zkądże pan to przypuszczasz?

— Tak, przez instynkt. Kilkakrotnie znajdowałem się w pałacu Leinster właśnie w chwili, gdyś pan przynosił swe buletyny, zawsze barwy różowej. Przyznaję się, że to właśnie nie zupełnie mnie uspakajało, a raczej to zaniepokoiło. Nie, to nie podobna, aby nawet w najlepszym więzieniu mogło wszystko iść tak bardzo pomyślnie. Domyślam się więc, półkowniku, że uważasz może za obowiązek oszczędzać i uspakajać matkę, żonę, siostrę. Pojmuję to, i na twym miejscu uczyniłbym zapewne to samo. Lecz teraz nikt nas nie słyszy, a ja umiem dochować tajemnicy. Nie ukrywaj więc nie przedemną, błagam cię o to w imię... twego żołnierskiego honoru.

Naciskany tak gorąco, półkownik odpowiedział wreszcie:

— Niestety, kochany wicehrabio, przecucie cię nie omyliło. Zdrowie Edwarda jest w stanie opłakanym...

— A więc Jakób wie zawsze prawdę — pomyślał Tankred.

— Fitz - Gerald cierpi — dokończył Reginald — cierpi nadewszystko moralnie. Więzienie zabija go...

— A więc postaraj się pan, aby go uwolniono! — zawołał Gaillefontaine.

— Ale w jaki sposób? — zapytał Reginald. — Wszystkie nasze usiłowania, dążące do uspokojenia kraju, nie przyniosły żadnego skutku. Spodziewano się, że zwycięstwo admirała Duncan przekona wreszcie tych szalonych ludzi o bezużyteczności ich oporu. Lecz nie: trwają w nim dalej i okazują to coraz groźniej. W ostatnich dniach wykradziono baryłki z prochem z naszych arsenałów. Kradną olów z rynien, drzewa z publicznych dróg, które były wysadzane. A naco? Oto aby lać kule, i wyrabiać drzewce do pik. Wczoraj jeszcze, patrz pan oto tam, w tym folwarku na dole, pochwycono dwieście sztuk świeżo przygotowanych i już okutych lane.

Chłodny z natury półkownik ożywił się niezwykle. Namietny gniew przebiegał w jego wzruszeniu. Szpiceruta, którą zwrócił w kierunku folwarku, drżała silnie w jego ręku.

Tankred nie bez złośliwego, a razem gorzkiego uśmiechu, zrobił półkownikowi uwagę, że ten folwark był już tylko kupą gruzów, a wydobywający się jeszcze ze zgłiszczów dym przekonywał, że pożar nastąpił najdalej wczoraj.

— Och, rozumiem — zawołał syn wicekróla — czynisz nam pan zarzut, że używamy szczególnych środków uspokojenia. To prawda, lecz czyjaż to wina? Tych jedynie, którzy nie wzdragają się podniecać nienawiści. Nazywają się *Zjednoczonymi Irlandczykami*! Kłamliwy związek, który nie przetrwał nawet jednego dnia! Katolicy pod pozorem jakiegoś odstępstwa, a może rzeczywistego ochłodnięcia i opamiętania się, które sprowadzili u protestantów pastorem, zburzyli parę ich wiosek — protestanci otrzymali upoważnienie, aby uzbroić się dla swej obrony. Czyż można było odmówić im tego prawa? Nie sądzę pan, aby wszyscy Irlandczycy mieli być nieprzyjaciłami dla nas. Związek trzech królestw liczy tu wielu zwolenników. Oto masz pan oranżystów. Przyznaję, że niekiedy mszczą się oni w okrutny spo-

sób, potępiam z zasady wszelkie rodzaje odwetów, lecz jeszcze raz pytam, kto je wywołuje?

Tankred milczał. Nie chciał wszczynać politycznej dysputy, choć mógłby był odpowiedzieć, że oranżyści i większa część akatolików, to są tylko Anglicy, któremi zaludniły się, w skutek okrutnych konfiskat pewne okolice Irlandyi. Kiedy biedny lud uciekał, był tępiący przez głód i mordy, ci się pchali do kraju. Reginald po krótkiej przerwie mówił dalej:

— Anglia mając wojnę na stałym lądzie nie jest w stanie trzymać w Irlandyi wojsk regularnych, najwięcej też jest tu zbieraniny najemnej a głównie Niemców. Są to drapieżne zwierzęta. Przyznaję też i to, że lord Camden, poprzednik mego ojca zachęcał jeszcze do nadużyć. Była to zbrodnia, którą opłakujemy obecnie. Ja cierpię nad tem może więcej od wszystkich innych. A jednak cóż czynić? Ze wszystkich stron otaczają nas niebezpieczeństwa i walki. Zagroza nam w Irlandyi potężne powstanie, a być może nawet, że Francya wesprze je posiłkami. Mamy więc obowiązek uprzedzić ich i uspokoić kraj przed przybyciem cudzoziemskiej armii. Jedynie przywrócenie porządku, poda nam możność zaprowadzenia ostrzejszej karności w wojsku...

— I ocalić Fitz - Geralda — dodał wicehrabia. — Jako cudzoziemiec nie mający interessu w miejscowych sporach, zajmuję się przedewszystkiem jego losem. Jeżeli nieszczęśliwy jest tak bardzo osłabiony, że nie ma nadziei, aby miał doczekać się skutku szlachetnych zamiarów pana, co do ocalenia go, jeżeli więzienie miałoby się stać dla niego śmiertelnem, to przynajmniej nie odmawiajcie mu pospiesznego przeprowadzenia sprawy.

— Sąd potępił by go niezawodnie — odparł syn wicekróla. — Czy Edward nie był w zмовie z tymi, którzy podnieśli się przeciw Anglii, czy nawet nie stał na czele ruchu? — Oh, nie wiesz pan jak wszyscy Anglicy są do najwyższego stopnia oburzeni na niego? Żądasz pan sądu, a przecież jedynie dla tego zwlekamy go, bo sąd skazał by go na karę śmierci!

Gaillefontaine wiedział, że tak było w istocie.

— Pozostaje więc tylko odwołanie się do łaski — odezwał się.

— Oh! — rzekł Reginald — już staraliśmy się i o to. Mój ojciec przekonany, że proces pogorszy jedynie położenie oskarżonych, gorąco prosił, aby korona skazała ich na wygnanie. Przedstawił że łagodność była czynem mądrości politycznej. List wicekróla znajduje się obecnie w rękach księcia Richmond, wuja Edwarda. On ma błagać króla Jerzego...

— Czy nie sądzisz, półkowniku — zapytał Tankred, widząc że jego towarzysz umiął nagle — czy nie sądzisz, że ten krok będzie uwieńczony pomyślnym skutkiem? Jerzy III ma być dobrym i szlachetnym...

— Tak — odparł Reginald — lecz jest on za ledwie cieniem króla. Pitt rządzi i ma nieograniczoną władzę.

Usłyszawszy nazwisko wszechwładnego ministra, wicehrabia zadrżał. Przypomniawszy sobie śmierć generała Hoche, wiedział że Pitt jest nieubłagany i bezwzględny, że nie ma dla niego ludzi, a są tylko idee.

— Tak więc — szepnął z boleścią — nie ma już żadnej nadziei?

— Zdarzają się czasami rzeczy nieprzewidziane — rzekł Reginald, zamysławiając się. — Nie przypadkiem jedziemy w tę stronę... nasza przejażdżka ma cel.

— Jaki?

— Usłyszysz pan rzecz szczególną. Po powrocie z Kildare, znalazłem u siebie ten bilet. Przeczytaj go pan.

Wyjął z kieszeni złożony papier i podał go Tankredowi.

Wzwany niedługo potrzebował czytać, bo bilet był krótki.

— Jeżeli rzeczywiście chcesz pan ocalić Fitz - Geralda i uspokoić Irlandyę, przybądź jutro

rano pod Dąb Królewski. Ale przyjeżdż tam sam jeden.

— Ach — odezwał się Reginald — osoba, która wyznaczyła mi tę schadzke, widocznie zna mnie dobrze.

— Lecz — zauważył Gaillefontaine — bilet nie jest podpisany.

— Mniejsza o to! — odparł Reginald. — Idzie tu o spełnienie moich najgorętszych życzeń. Byłem jak człowiek zablakany i pogrążony w nie-miej ciemności, nagle ujrzałem blask światła na widnokręgu. Nie namyślam się więc i spieszę, nie pytając kogo spotkam przy tym ogniu.

— A czy nie domyślasz się pan nie... Nie przypuszczasz choć trochę, co to być może.

— Bynajmniej. Ale wkrótce rzecz się wyjaśni, bo oto Królewski Dąb, tam na dole!

Dwaj jeźdźcy wyjechali teraz na rozległą płaszczyznę, pokrytą bujną trawą. Tu i tam sterczały skały dziwacznych kształtów. W oddali na widnokręgu rysował się las, niby półkole ciemnej zieleności.

Trudno o więcej dziki i ponury krajobraz. Zdawało by się, że jest to jedna z pustyni Nowego Świata.

Prawie na środku płaszczyzny, na samotnym pagórku, wznosiło się olbrzymie drzewo: *Królewski Dąb*, panujący nad całą okolicą.

Tankred chciał zatrzymać Reginalda.

— Półkowniku! — zawołał — miejsce to jest niesłychanie sposobne do zasadzki.

— Alea jacta est! — odrzekł syn wicekróla pogardliwie. — Przez ostrożność wziąłem cię za towarzysza, panie wicehrabio. Ale jeżeli uważasz...

— Jeżeli co uważam! — zawołał Tankred. — Na przód tedy...

— Jest-to dowód osobistej przyjaźni, który mi dajesz wicehrabio — zakończył narzeczony Lucy. — Nigdy nie zapomnę tej chwili, która mnie wiąże do ciebie.

— Ani ja — odparł Gaillefontaine. — W każdym razie jednak podsypmy prochu na panewki naszych pistoletów, gdyż nie wątpię, że ta schadzka jest zasadzką na ciebie. Może biedacy chcą mieć zakładnika, i wybrali cię na niego. Jesteś syn wicekróla...

Puszczono się ostrym kłusem, kierując się ku Królewskiemu Dębowi.

Nikt nie znajdował się jeszcze pod jego rozłożystemi konarami. I na całej płaszczyźnie nie widać było również nikogo.

— Zdaje się, że pierwsi przybywamy na miejsce.

— Chyba — zauważył Tankred — że osoba, która pisała bilet, waha się pokazać z powodu, że nie jesteś pan sam.

— Ach! — odezwali się oba razem. — Otóż już jest!

Pojedynczy jeździec ukazał się u brzegu lasu.

O ile dało się to rozpoznać w oddaleniu, był to ktoś z wyższego niby towarzystwa, wybornie kierujący ognistym rumakiem.

Zbliżał się powolnym kłusem, unosząc się od czasu do czasu na siodle, jak gdyby dla rozpoznania miejscowości.

Na połowie dróg pomiędzy lasem i dębem zatrzymał się.

— Przypuszczenie twoje, panie wicehrabio, potwierdza się — odezwał się Reginald. — zdaje się, że czeka, chcąc, abys się oddalił.

— A gdybym przeciwnie pojechał ku niemu — zaproponował Gaillefontaine — i zapewniwszy go o bezpieczeństwie, zapytał o warunki?

— Jeżeli sądzisz wicehrabio, że to będzie dobrze, to jedź. Tobie nie się nie stanie: do ciebie nie mają nienawiści.

Gdy Tankred ruszył z miejsca, galopując w świetle poranku, nieznajomy wyjechał również na jego spotkanie.

Gdy zbliżyli się tak, że nawzajem mogli się widzieć dobrze, oba jednocześnie wydali stłumiony okrzyk zadziwienia.

— Wicehrabia! — zawołał nieznajomy, podjeżdżając.

— Dziki Ir! — szepnął Tankred, zatrzymując przy nim konia.

XXI.

Głowa za głowę.

Gaillfontaine ani przypuszczał podobnego spotkania.

— Sir! — zawołał — ty tu? Po co?

— Przybywam na umówioną schadzkę — odrzekł Jakób.

— Zatem bilet, który sir Reginald otrzymał, pochodzi od pana?

— Tak jest. Wcale nie żałuję, że spotykam cię tu, panie wicehrabio, owszem cieszy mnie to bardzo, lecz nie powinniśmy okazać, że się znamy. Mileżenie!

— Ale cóż to znaczy i do czego prowadzi ten krok?

— Wkrótce dowiesz się o tem wicehrabio, lecz połączmy się z tym, który na nas czeka.

Ubódl konia ostrogą i zatrzymał się dopiero pod dębem, gdzie czekał syn wicekróla.

Obaj po chłodnym ukłonie, spoglądali na siebie w milczeniu.

Zaraz za nieznajomym nadjechał wicehrabia.

Dziki Ir przemówił pierwszy:

— Zgadza się, aby ten pan, wicehrabia de Gaillfontaine, był obecny przy naszej rozmowie. Dość mi wiedzieć o tem, że jest on Francuzem. Francuz nigdy nie jest złym gościem na ziemi i w sprawie irlandzkiej.

Jakób był spokojny i wyglądał prawdziwie wspaniale. W tej pustyni, w pośród dzikiej przyrody wydawał się monarchą, przyjmującym cudzoziemców w swem państwie.

Po wypowiedzianym poważnie wstępie, skłonił się półkownikowi Cornwallis i dodał.

— Dziękuję ci, półkowniku, żeś przybył. Mam nadzieję, że nie pożałujesz swego zaufania.

— Ani pan również — odparł Anglik z dumną uprzejmością. — Ale słucham, co masz mi do powiedzenia.

Przez chwilę mierzyli się nawzajem oczyma. Półkownik czuł, że znajdował się w obec wroga, Irlandczyk wiedział o tem.

Pomimo tego usłuchał wezwania i rzekł:

— Macie w waszej mocy głównych naczelników Zjednoczonej Irlandyi — oprócz jednego tylko... którego nigdy nie zdołacie pochwyć. Dopóki zaś jest on wolnym, Anglia nie może być spokojną i musi obawiać się w Irlandyi wszystkiego...

Sir Reginald przerwał mu:

— Domyślam się, że idzie tu o człowieka, na głowę którego naznaczono cenę.

— W istocie — potwierdził Jakób. — Dziesięć tysięcy funtów szterlingów.

— Od wczoraj — rzekł półkownik — podwojono tę sumę.

— Dwadzieścia tysięcy funtów! — zaczął znów Jakób głosem, który stawał się szyderczym. — Pół miliona franków! Doprawdy, zaczynam wierzyć, że możemy dojść do porozumienia, a wysokość summy jest w istocie pochlebną dla Dzikiego Ira. Pomimo to sądzę, że to nie dość jeszcze za niego — żądam więcej.

Syn wicekróla pomylił się co do zamysłów nieznajomego i z druzgoczającą pogardą odezwał się:

— Aha, rozumiem, o co chodzi... Naznaczyłeś mi sir schadzkę, aby sprzedać krew bratnią...

— Panie półkowniku! zawołał z dumą Jakób —

nie bądź pośpiesznym w sądzie. Wydam ci tylko to, co do mnie należy, bo ja sam jestem. — Dziki Ir!...

Anglik na dźwięk tego przekłętą dlań nazwiska, podskoczył na koniu, cofnął go potem w tył i pochwycił ręką za pistolet.

— Reginaldzie! — zawołał Tankred, upominając.

Jakób przeciwnie uśmiechnął się; rad był z tego, że pochwycił niby najlepszego z Anglików na porywie nieuczciwości. Wzrok jego to wyrażał, gdy rzekł, odpowiadając na wykrzyk Tankreda.

— O bądź spokojny, panie wicehrabio, nie może tu być dla mnie żadnego niebezpieczeństwa. Zanim by ręką sir Reginalda pociągła kurek pistoletu, już by on sam był trupem. Spojrz pan!

Wskazał na Unkasę, który zaczajony między gałęziami po nad ich głowami, zdawał się gotowym do rzucenia się na wroga, gdyby ten na prawdę zagroził życiu jego pana.

— Przebac milordzie, tę przesadzoną ostrożność — dodał potem, zwracając się do Reginalda. Skłoniło mnie do niej to dopiero, gdy m spostrzegł że przybywasz nie sam. Każdy z nas przyprowadzał towarzysza, czyż to nie słuszną rzeczą? A zapewniam panów, że kto ma do kompanii Unkasa, jest dobrze strzeżonym.

Półkownik miał czas odzyskać zimną krew i wrodzoną mu godność.

— Żałuję — odezwał się — pierwszego mimowolnego ruchu, którego nie zdołałem powstrzymać, a który usprawiedliwia nieufność pana. Wicehrabia de Gaillfontaine natychmiast oddali się, jeżeli tylko żądasz pan tego.

— O bynajmniej — przerwał Jakób. — Owszem obecność jego jest dla mnie przyjemną. Lecz widzę, że nie tak się rzecz ma ze względu na mego Indyanina...

Sir Reginald nie zdołał powstrzymać gestu odrazy.

— Nie bądźmy zbyt surowi względem zwyciężonych — rzekł Jakób z goryczą — nawet wtedy gdy mają czerwoną skórę. Co nas najwięcej w nich może oburzać jest najcięższą dziełem zwycięzców. Złe zawsze rodzi złe. Angielscy żołnierze wymordowali w Ameryce całe jego pokolenie... Unkas czyni to samo, co mniej więcej każdy człowiek pokrzywdzony — mści się!

Zdawało się, że Indyanin zrozumiał co mówiono. Wydał przytłumiony okrzyk gniewu i wywinął nożem po nad głowę.

— Oddał się! — rozkazał Jakób.

Unkas nagle zmienił się do niepoznania. Z jego twarzy, z całej postawy zniknął wyraz groźby; pozostało jedynie ślepe posłuszeństwo. Skurczył się, zeskoczył na ziemię, zesunął się przygarbiony z pagórka i po chwili zniknął w niedalekim parowie, przerywając łuki w kierunku lasu. Ani tygrys, uciekający przed strzelcami, nie mógł by ukryć się prędzej.

— A teraz — odezwał się Jakób spokojnie — możemy prowadzić dalej rozpoczętą rozmowę.

— Przerwaliśmy ją na tem — przypomniał wyniosłe półkownik — że pan żądałeś podniesienia ceny, nałożonej przez rząd na głowę Dzikiego Ira.

— Tak jest — przyznał Jakób — podniesienia, albo raczej zamiany.

— Na co?

— Na wolność Edwarda Fitz - Geralda.

Teraz dopiero Tankred zrozumiał.

— Czy mówisz pan seryo? — zapytał Reginald.

— Seryo — odrzekł Jakób. — Lord Edward jest ranny, umierający, niezdolny, do szkolenia Anglii, nawet w razie odzyskania zdrowia; zatem zamiana, jaką pragnę skutecznie, powinna być uważaną przez Anglię za dobry interes. Wszak Anglicy widzą we mnie głównego wroga swego, gdy mnie dostaną, uspokoją się i obchodzić będą tryumf swój — święto pokoju...

— Och — szepnął syn wicekróla — dałbym i ja życie, gdyby chwila taka była możliwą i bliższą! Za rok cicho przeżytego spokoju w Irlandyi, dałby je potem.

Mówił to szczerze, bo myślał w tej chwili o Łucyi, a wspomnienie to wzruszyło go i wzburzyło mu serce. — Oh! zawołał też — czy tacy ludzie, jak pan, tacy jak widzę wykształceni, rozumni ludzie mogą być wicherzycielami? Czyż możecie wierzyć choć przez sekundę w powodzenie? Czy możecie przypuszczać, że zwyciężycie z garstką niekarnego chłopstwa armię i flotę Anglii?...

— W tej chwili już się tego nie spodziewam — odparł Jakób z gorzko smutnym uśmiechem. — Ach! wczoraj jeszcze, jeszcze wczoraj, było co innego. Nadzieja którą żywiłem była mojem życiem. Oddam je więc dziś bez żalu. Zwycięstwo admirała Duncana zabiło ją w mem sercu i odejęło mi odwagę. Ale jest to dobrą radą z mej strony, gdy powiem, że Anglia w targu ze mną nie powinna się ościagać. Rozpacz miewa czasem rzuty gwałtowne i nie umie rachować. Daj mi pan słowo honoru, że uwolnicie Fitz - Geralda i pozwolicie mu własnowolnie obrać sobie miejsce wygnania, a tego samego dnia, w którym on opuści Newgate, ja zajmę jego miejsce w więzieniu. — No, czy przystajesz pan? dodał po chwili.

— Lecz któż nam zareczy, że dotrzymasz pan przyrzeczenia?

— Moje słowo — odparł Jakób — a czy ja nie polegam na pańskim?

Zdawało się, że niepodobna było powątpiewać o prawości tego, co to mówił — przebijała ona w jego głowie, w spojrzeniu, w całej osobie.

— A czy wiesz pan — odezwał się jeszcze syn wicekróla — czy wiesz pan, że dla ciebie nie może być nigdy łaski?

— Wiem — odpowiedział.

Mówił to już teraz ze spokojną godnością. Na czole miał aureolę patryotyzmu i poświęcenia.

Sam Reginald czuł się olśnionym.

— Przebac pan, jeżeli cię obraziłem — odezwał się ze wzruszeniem. — We wszystkich obozach znajdują się wielkie serca...

— To nie jest odpowiedź — szepnął Jakób. Poczem gdy półkownik wahał się jeszcze, zawołał. — Rozbroję się i udam z panem do Dublinu, licząc jedynie na twój honor wojskowego i szlachcica. Wiem że w Anglii znaczy to bardzo wiele...

Mówiąc to, odrzucił szpadę i pistolety. Oczekiwał, odpowiedzi.

Ale brzmiała ona dwuznacznie: — Nawet mój ojciec nie mógł by przyjąć na siebie podobnego zobowiązania — odrzekł Reginald po chwili namysłu. — Trzeba mu wprzód poradzić się rady regencyjnej.

Jutro zostanie ona zwołaną.

— Zatem jutro wieczorem będę czekał w tem samem miejscu — rzekł Jakób. Jeżeli przyjmiecie, przyslijcie po mnie dragonów.

— Wicehrabia Gaillfontaine zechce podjąć się zawiadomienia pana o naszej odpowiedzi, zakończył Reginald. — Do jutra!

I może dla ukrycia swego wzruszenia popędził cwałem.

Tankred puścił się za nim, lecz wpiers serdecznie uściśnął rękę szlachetnego człowieka.

(Dalszy ciąg nastąpi)